

**BEZ
DEBITU**
**KWARTALNIK
NIEREGULARNY
BIAŁYSTOK**

nr 5

DEZ DEBITUS-FEES

kwartalnik — nieregularny

W numerze:

STANOWISKA

KES, Czekając...	3
IBD, Nowa karta liberalizmu	6
Michał Rodziński, Na szlaku znikąd donikąd	12
Jan Michała, Pyski zmysły	20
Ewa Pańska, O szkoła polska!	22
Andrzej Nikosławski, Cerkiew a państwo ateistyczne	24
MER, Na marginesie	25

DOKUMENTY

Apel Społecznego Ruchu - Ligi Obrony Praw Człowieka	23
--	----

ROZMOWY

Ja nie jestem Oni, cz. II	30
---------------------------	----

FOLKLOR POLITYCZNY

Posłanie do ujarzmionych narodów Europy Środkowej	36
--	----

POWTÓRKA Z HISTORII

Dariusz Fikus, Zaszczuci	40
KAB, Ks. Jan Kanty Ostrowski /1892-1948/	53

OPWIADANIE

Adam Dolistowski, Wstęp do historii świata, cz. III	56
---	----

OP CIT., OP CIT.

Adam Le Bor, Rosyjskie zapiski	61
Jerzy Surdykowski, Kształty oporu	65

Numer złożono w styczniu 1988 r.

Białystok

STANOWISKA

KES

Czekając...

Sytuację społeczną i polityczną w Polsce ostatnich lat wielu obserwatorów określa mianem pała. To szachowe pojęcie zyskuje zresztą coraz większą popularność, kształtując niewątpliwie stan nastrojów społecznych. Charakterystycznymi oznakami są tu - z jednej strony ucieczka w prywatność, a z drugiej internalizacja społecznych problemów do rodzinnych i przyjacielskich kręgów. Powodów do falowania nastrojów i rodzenia się napięć nie brakuje - amnestia, pielgrzymka Jana Pawła II, "II etap reformy", referendum, podwyżki. Nie wpływają one jednak na przezwycięzenie szerzącej się apatii. Na polu walki pozostają Miętus z Syfonem przezwijający upórzywie pytanie o własną tożsamość. Sytuacja zresztą rozwija się ściśle według gombrowiczowskiego scenariusza. Co raz to w którymś obozie słychać okrzyk "Życiństwo" i "rzeczywistość pomatu zmienia się w kształt ideału, daj mi teraz marzyć, daj". Pomiędzy nimi pozostaje nadal amorficzne "centrum" a dookoła masa kurozących się i zapadających w siebie ludzi, lepiej lub gorzej radząca sobie z "normalizującą się sytuacją gospodarczą" i starająca się zapomnieć i o komunistach, i o Solidarności.

Pojedynek zatem trwa i "na dzień dzisiejszy" nic nie zapowiada jego końca. Nie ma bowiem dzisiaj w Polsce takiego autorytetu /Papież jest za daleko i za wysoko/, który powiedziałby obu stronom, że brną w zaulek, i który zostałby przez obie strony wysłuchany. Tymczasem postępuje daleko posunięta erozja obu grup. Widać to najlepiej na przykładzie młodzieży i jej stosunku do sytuacji w Polsce. Obserwując zapadanie się w nicłość ideałów ich ojców i starszych braci jest nieufna wobec wszelkich apeli o mobilizację.

Przedzieranie się przez ezceble partyjno-państwowej nomenklatury jest mało pociągające i trudno się jej dziwić, że preferuje szybki sukces via Zachód.

Stosunek do Solidarności jest może bardziej skomplikowany. Zohyzająca propaganda robi jednak swoje, pozostawiając cięń zadry wyrażanej często zdaniem "Coś w tym musi jednak być..."

Przyczyna takiego stanu rzeczy wydaje się być tak prosta, że aż banalna. Obu stronom brak po prostu wizji przyszłości. Obie tkwią po uszy w stylu myślenia ukształtowanym podczas "wojny", sztywnym i mało elastycznym. Obie milcząco zakładają wyeliminowanie przeciwnika z gry. Rozumiem komunistów, bo mają za sobą geopolitykę i tota-

lizującą tradycję. Mniej rozumiem Solidarność, która nie opowiedziała się po stronie żadnej ideologii, a jednak postępuje podobnie, choć najczęściej odwrotnie. Charakterystyczne są też zbliżenia stanowisk /np. negatywny stosunek do samorządów, wprowadzicie w różnym czasie, ale jednak/.

W sumie jednak dziwię się obydwu stronom. Wygląda na to, że w obu obozach królują "dojtrkujący politycy". Widać przyszłości to nie tyle umiejętność przewidywania przyszłych wydarzeń, ile zrozumienie sytuacji obecnej. Jest to, przynajmniej, bardzo trudne, chociażby ze względu na brak punktów stycznych między oficjalnym i pozaczynuralnym obiegiem informacji /"Res publica" i prasa katolicka to za mało/. Stąd bierze się wzajemne ignorowanie propozycji Emian i dyskutowanie błędów przeciwnika na swoją korzyść i dla wykazania swojej dobrej woli.

Aby uprzedzić zarzuty, że niesprawiedliwie oceniam Solidarność /opozycję/ nie biorąc pod uwagę obiektywnych ograniczeń, wyjaśniam:

- tłumaczenie, że opozycja nie ma możliwości działania ze względu na monopol państwa w kluczowych dziedzinach odrzucam jako małoistotowe.

Wypada to uzasadnić. Jeśli opozycja, której trzonom nadal pozostaje NSZZ "Solidarność" ma zasługiwać na miarę opozycji, nie może się w ten sposób tłumaczyć, bo to bez sensu. Albo się jest moderatorem działań rządu i PZPR i jest się opozycją, albo nie i należy coś zmienić. Nie można utożsamiać opozycji z funkcją organizatora oporu.

Przywódcy "Solidarności" i znacząca część jej działaczy i członków uważają, że Związek pozostaje jedynym niekwestionowanym depozytariuszem społecznego oporu, którego wielkość ujawniła chociażby referendum. Sprawa nie jest taka prosta. Myślę, że natężenie tego oporu dawno przestało być określone zapewnieniami komunistów jak i wezwaniami ze strony "Solidarności". Decyduje tu przede wszystkim oczekiwanie szybkich zmian, których nie ma i wygląda na to, że nie będzie. Nie zmieni tego także ponowne zarejestrowanie "Solidarności".

Po pierwsze dlatego, że komuniści nie mają "pełnych magazynów" - - jeśli już - to są w nich buble - i ludzie to wiedzą.

Spójrzmy jeszcze na sytuację przez pryzmat "Solidarności". Niezwykle płodnym w niebezpieczne konsekwencje wydaje mi się twierdzenie, że podstawowym warunkiem zmian na lepsze jest legalizacja Związku jako gwaranta reformy i demokracji.

Argumenty przemawiające za taką interpretacją można sprowadzić właściwie do trzech:

Po pierwsze - mit wielkości jest nadal bardzo żywy - może zatem powstać molołch pełen ludzi popełniających stare błędy i wciąganych w zastępcze konflikty.

Po drugie - "Solidarność" ograniczona do szczebla zakładowego nie będzie w stanie wypłynąć na zagmatwany i sprzeczny system prawnogospodarczy, który niszczy wszelkie społeczne i gospodarcze inicjatywy lub czyni z nich wentyl dla rozkładania energii twórczych i dynamicznych jednostek.

A po drugie wzrost instytucjonalnego nacisku na władzę do niczego nie prowadzi, bo nie ma ona żadnego sensownego planu /Kongres PTE

ujawniła bezosobą i akademickie przygotowanie doradców rządu/. Tu nie pomocą żadne personalne rozszady, a tylko na to stać nomenklaturę. W wypadku nacisków zbyt wielkich obecni liberałowie usztymnią się, tak jak zwykle czynią to pancwie, których pies, zamiast merdać ogonem, gryzie w łapę. Na razie bowiem nie widać, by władza zrezygnowała z wynoszenia siebie na piedestał dawcy. Tyle, że chce to robić skuteczniej. Jak na razie efekty są mierne. Jeśli ma być to powód do zadowolonia to - na zdrowie!

Nie oznacza to oczywiście, że pluralizm związkowy trzeba odrzucić. Wprost przeciwnie. Tylko walce o niego winna towarzyszyć świadomość ograniczonych możliwości działania wynikających z pluralizmu właśnie.

Chyba, że walka o pluralizm to fikcja, płaszczyk i chodzi tylko o "Solidarność" - "jako jedynego reprezentanta" /jeden ze znanych działaczy stwierdził publicznie, że wg. jego rozważania pracownicy opuszczają stare związki by zapisać się do "Solidarności"/.

Myślę, że nie tędy droga.

To trzecie wreszcie - czynienie ze Związku jedynego depozytariusza ideałów Sierpnia, w wypadku jego niezarejestrowania, doprowadzi w rezultacie do wyłączenia dużej grupy ludzi aktywnych z życia publicznego. Nie można bowiem czekać w nieskończoność. Kryzys podziemnych struktur Związku potwierdza to wyraźnie.

Co gorza, podziemne pisma, powtarzając jedno za drugim informacje o różnych formach represji, tworzą obraz "obłąconej twierdzy", co delikatnie mówiąc nie jest prawdą. Potęguje to jednak mit oporu, który moim skromnym zdaniem, należy generalnie odłożyć do lamusa.

Czas zacząć współrządzić, a jak na razie "opozycja" nie jest do tego przygotowana. Myślę, że najbliższe wybory do rad narodowych mogą stać się terenem sprawdzania innego myślenia o przyszłości.

Oby.

P.S.

Celowo nie pisałem o Kościółce, który jest ciągle przed rzetelną dyskusją o roli i powołaniu świeckich, a zatem nie wykracza poza swe "dawno upatrzone pozycje".

IBD

Nowa karta liberalizmu

Liberalizm, liberalny, znikły liberalizm... słowa, które znamy, spotykamy na łamach prasy, czasem w poważnych publikacjach o tematyce politycznej lub społecznej, ostatnio coraz częściej bowiem liberalizm zaczął u nas jakby robić karierę i staje się modny. Moda na tendencje liberalne obejmuje zwłaszcza część środowiska parającego się działalnością ekonomiczną czy gospodarczą i jest w dużej mierze związana z poszukiwaniem sposobów wyjścia z kryzysu, chociaż mówi się również o liberalizacji prasy, systemu zarządzania, przepisów prawnych etc.

Jak się wydaje, odbiór emocjonalny słowa liberalizm, a zwłaszcza liberalizacja jest na ogół pozytywny, chociaż spotyka się także ostre krytyki liberalizmu jako ideologii i ruchu politycznego. Różnorodność "liberalnych" haseł i deklaracji oraz wypowiedzi polemicznych i krytycznych skłania do wniosku, że liberalizm rozumie się bardzo różnie, a znaczenie jakie się mu przypisuje, nie musi korespondować z tym, co prezentuje liberalizm zachodni, znany w Polsce bardziej ze sloganowych sformułowań gazetowych niż od strony idei i programów, jakie głosi.

Część wypowiedzi krytycznych odnosi się raczej do tego, czym liberalizm zachodni był niegdyś, a nie do tego, czym jest współcześnie. Niektóre skłonnośe są utożsamiać bieżącą taktykę polityczną różnych partii liberalnych z programem z ruchu. Tymczasem taktyki te wykazują w poszczególnych krajach znaczne różnice i dość szybko ulegają zmianom, a mimo to partie liberalne nadal mienia się liberalnymi i uważają, że łączą je wiele wspólnych założeń.

Z racji na wzrastającą popularność tendencji liberalnych w Polsce i interesujące z naszego punktu widzenia postulaty liberalizmu w dziedzinie rozwiązań gospodarczych, potrzebne wydaje się bliższe spojrzenie na obecne oblicze liberalizmu na Zachodzie.

Aby nie czynić tego chaotycznie i nie zagubić się w zawikłaniach i niuansach skomplikowanych układów politycznych, spróbujmy zacząć od jednego kraju i zobaczyć, jak to widzi jeden z teoretyków liberalizmu francuskiego Guy Sorman¹.

Kluczem do pojęcia liberalizmu jest słowo wolność. Hasła nieskrępowanej wolności człowieka, wolności jednostki, którą realizować miał ruch liberalny, budziły szereg obaw. Nasuwały skojarzenia z nieuchronną anarchią, negacją porządku państwowego i społecznego, a wreszcie z negacją prawa, co musiałoby doprowadzić do ucisku jednostek słabszych, które o swoją wolność walczyć nie potrafią, przez silniejsze, realizujące subiektywne potrzeby własnej nieograniczonej wolności kosztem innych - czyli do efektu sprzecznego z podstawowym założeniem wolności dla wszystkich.

x/ Guy Sorman, Państwo Minimum, Wyd. "Kurs" 1987

Współczesny liberalizm nie zawiera w sobie tych sprzeczności. Uważa się za tendencję do odtworzenia porządku wobec zakusów nieładu i przemocy. Sądzi, że należy dążyć do zwiększania wolności osobistej wszystkich obywateli poprzez zwiększenie ich możliwości dokonywania różnorodnych wyborów. Tak więc celem liberalizmu jest sprawić, aby dla jak największej ilości ludzi zwiększyła się możliwość wyboru.

W związku z tym liberalizm optuje za wzrostem gospodarczym jako jednym z warunków rozszerzenia możliwości wyboru oraz dąży do ograniczenia roli państwa i wprowadzenia stanu równowagi między kompetencjami aparatu państwowego a możliwościami społeczeństwa. Stanu, w którym państwo nie ograniczałoby wolności i interesów obywateli a spełniało w stosunku do nich rolę ochronną.

Liberalizm uważa się za ideologię, chociaż jest to pojęcie niepopularne. Zwłaszcza wśród prawicy. Zakłada jednak, że w praktyce nie można oprzeć działania wyłącznie na obiektywnych racjach, ale pożytuje się jednocześnie za kierunek oparty na refleksji racjonalnej i na doświadczeniu. Nie zamierza się też wyzywać "racji serca ani pewnej duchowej i moralnej skłonności ku społeczeństwu otwartemu przeciw społeczeństwu skolektywizowanemu lub autorytarnemu".

Zawsze przedkłada praktykę nad doktrynalne spory i kult autorytetów, a za fundament refleksji uważa naukową pokorę. "Cechuje go postawa eksperymentalna, karmiona przez refleksję historyczną". Twierdzi, że bardzo mało jeszcze wiadomo o rzeczywistym funkcjonowaniu społeczeństw, że nauki społeczne są jeszcze bardzo młode i w bardzo niewielkim stopniu ścisłe. Uważa, że ład spontaniczny, który doprowadził do obecnego rozwoju cywilizacji, przewyższa każdy porządek dekretowany. W związku z tym ruch liberalny nie proponuje określonej wizji przyszłości. Jest jednak za demokratycznym systemem rządów, uznając, że narody są rozsądniejsze od swych władców, wybierając - jeśli mogą - spokój i pomyślność, i że wszędzie tam, gdzie demokracja prosperuje dobrze wolności obywatelskie są zachowane". Guy Sorman uważa też, że tylko powszechne głosowanie jest w stanie obalić dyktaturę, a rewolucje, którymi próbowano zastąpić takie głosowanie doprowadziły do barbarzyństwa.

Uznanie doświadczenia za podstawę racjonalnego działania powoduje skłonność do korzystania z rozwiązań już sprawdzonych i do utrzymywania organizmów społecznych działających w sposób "naturalny". Liberalizm uważa naturalne związki tożsamościowe za bardziej racjonalne i bardziej "postępowe", niż wszelkie decyzje podejmowane przez centralną władzę. Sądzi, że rozwiązując konflikty społeczne - zanim skorzysta się z interwencji państwa - należy "najpierw wyczerpać wszelkie źródła solidarności naturalnej, na jej wszelkich poziomach społecznych". Daje zatem pierwszeństwo decyzjom indywidualnym, rodzinnym i lokalnym przed sięganiem po decyzje państwa, które winno pełnić tylko rolę pomocniczą. Jeżeli tak nie jest i państwo narzuca swoje decyzje, liberalizm proponuje nie zwalczanie instytucji państwowych, lecz tworzenie obok nich nowych struktur, stanowiących dodatkowe instrumenty działania, które chociaż może początkowo skromniejsze, w efekcie - jeżeli są potrzebne - powinny okazać się żywotne i sku-

teczne. Powinny też spowodować, niejako w sposób biologiczny, poprawę funkcjonowania instytucji państwowych.

Państwo winno - według liberałów - chronić własność obywateli i popierać ich inicjatywy gospodarcze, bowiem jak wykazała praktyka, tylko zachowanie prywatnej własności i rozwój prywatnej przedsiębiorczości jest w stanie zapewnić rozwój gospodarki i wzrost dobrobytu obywateli, co zwiększa ich możliwości wyboru.

Wbrew pozorom liberalizm nie jest ideologią krajów bogatych, lecz odwrotnie - jest jakby sposobem na wydobyć się z nędzy. Najpierw kraj musi być liberalny, a dopiero potem zaczyna dobrze prosperować. Przykładów na poparcie tej tezy szuka się w krajach Trzeciego Świata. Te, które wybrały centralne planowanie, kolektywizację i upolitycznienie życia gospodarczego itd., przeżywają okres upadku gospodarczego i część z nich nie jest dziś w stanie samodzielnie się wyżywić. Tam, gdzie zachowano elity gospodarcze lub pozwolono im się swobodnie wyłonić gwarantując względne bezpieczeństwo, elity te pociągnęły swoją inicjatywą całą gospodarkę, doprowadzając kraj do sukcesów ekonomicznych.

Konieczność zagwarantowania bezpieczeństwa politycznego i ekonomicznego dla przedsiębiorców jest też bardzo podkreślana przez liberałów, uważających że jest to podstawowy warunek umożliwiający wyjście z wiecznego niedorozwoju.

Tak więc innym państwem liberalizm skłonny byłby polecać te same modele gospodarcze, co u siebie. Mieni się bowiem ideologią po trochu kosmopolityczną, zmierzającą do wzrostu wolności i dobrobytu całego ludzkiego gatunku. W polityce europejskiej popiera "wolnościową interpretację wspólnoty, dla której Wspólny Rynek powinien stać się strefą wolnej wymiany handlowej". W stosunkach z krajami bloku wschodniego radzi nieustannie pamiętać, że nie są to takie same kraje jak inne i że każdy rząd komunistyczny należy do zcentralizowanego i zorganizowanego systemu, którego celem jest światowa dominacja.

W nawiązaniu do tych idei i tendencji ogólnych liberalizm francuski dokonuje oceny sytuacji wewnętrznej i stawia określone propozycje rozwiązań politycznych. Ocen i propozycji tych jest sporo i obejmują one różne sfery działalności gospodarczej i politycznej. Spróbujmy więc może przytoczyć tylko te, które nasuwają skojarzenia z kryzysem w Polsce.

Wzrost inflacji doprowadził do konkluzji, że została zerwana umowa pomiędzy Francuzami a państwem, ponieważ obywatele płacą państwu zbyt dużo i w dodatku kilka razy za to samo. Raz jako podatnicy, powtórnie jako oszczędzający /z tytułu spadku wartości pieniądza/ i po raz trzeci jako pracownicy lub przedsiębiorcy płacący składki ubezpieczeń społecznych. Tymczasem inflacji winien jest rząd bijący w nadmiarze pieniądze, aby zaspokoić nieograniczone potrzeby finansowania deficytu wydatków publicznych i finansować rozrost biurokracji. Inflacja zatem nie jest skutkiem kryzysu, lecz ukrytym podatkiem - złem, które rząd tworzy, utrzymując jednocześnie, że z nim walczy i oskarżając innych /pracowników, przedsiębiorców, związki zawodowe, kupców/ o swe własne nadużycia. Prowadzi to do wniosku, że "bez zrównoważenia budżetu państwa

nie jest możliwa skuteczna walka z inflacją*.

Jednocześnie oceny liberałów głoszą, że "inflacja nie tylko żywi rozrost państwa, ale stworzyła historyczną zależność społeczną i po-
głębia ją do dziś. Niepewność pieniądza podtrzymuje potrzebę państwa,
gdyż nasze oszczędności nie są już w stanie chronić nas przed ewentu-
alnym bezrobociem czy chorobą".

Upadek pieniądza stanowi natomiast sedno ekonomicznego kryzysu.
Niepewność oszczędności zmusza do konsumpcji bieżącej, do działań
krótkoterminowych zamiast długofalowych przedsięwzięć i do spekulacji
zamiast inwestycji. W tym kontekście możliwość sukcesu gospodarczego
wiąże się przede wszystkim z przywróceniem ładu monetarnego. I nie
chodzi tu o ograniczenie zwykłej cen, lecz o inflację zerową oraz od-
tworzenie wolności cen i płac, bo tylko taki stan może po pewnym cza-
sie zmienić zachowania ekonomiczne obywateli. Proponuje się zatem nie
traktować inflacji jako rodzaju gospodarczego rozregulowania wymagają-
cego tylko korekt technicznych, ale uznać ją za zło natury politycz-
nej, wymagające rozwiązań instytucjonalnych, jak również zakazania
państwa szkodliwej nadprodukcji pieniądza. To jednak wymaga, aby wła-
dza monetarna była niezależna od władzy politycznej, czyli należałoby
dążyć do tego, żeby silny pieniądz zagwarantowany był prawem a nie
programem wyborczym, np. odpowiednim sformułowaniem w konstytucji
/zakazującym emisji pieniądza w tempie szybszym niż kształtuje się
narodowy wzrost gospodarczy/. Na początek postuluje się przynajmniej
uzyskanie dla Banku Francuskiego niezależności gwarantowanej przez
prawo.

Niezbędnym uzupełnieniem ładu i bezpieczeństwa monetarnego miałyby
być przywrócenie ładu kredytowego oparte na prawdziwej konkurencji
między systemami lokowania oszczędności i kredytodawcami. Chroniłoby
to oszczędzających przed monopolizowaniem zasobów finansowych przez
państwo lub też na korzyść państwa i na korzyść popieraną przez
nie sektorów. Dałoby to gwarancję, że pieniądze inwestowane będą w roz-
wój gospodarczy a nie w państwowy deficyt, wydatki publiczne czy akcje
wyborcze.

Istotnym postulatem liberalizmu francuskiego jest zmniejszenie pro-
gresywności podatku tak, aby nie niszczyła gospodarczej pomysłowości.
Uważa się za naturalne, że bogaci płacą więcej niż biedni, ale optuje
się za ustaleniem maksymalnej stawki podatkowej na poziomie najwyżej
50% dochodu, ponieważ powinno to sprzyjać inicjatywom gospodarczym
podejmowanym przez elitę. Twierdzi się przy tym, że "żadna reforma
fiskalna w duchu liberalnym nie jest możliwa jeśli nie uzna się, że
bogactwo narodowe buduje się na bogactwie indywidualnym, na indivi-
dualnej przedsiębiorczości i indywidualnym wysiłku. Gdy podatek naz-
byt służy wyrównywaniu różnic społecznych, rodzi nudę, społeczny uni-
formizm, gospodarczą apatię i społeczną atonię".

Nie chodzi przy tym o ograniczanie podatku od przedsiębiorstw,
gdyż wspiera to tylko przedsiębiorstwa już istniejące. Jeśli chce
się preferować powstawanie nowych, należy ograniczyć podatek od do-
chodów, bowiem zdecydowana większość nowo powstałych przedsiębiorstw
została założona z osobistych lub rodzinnych oszczędności założycie-
li, a zmniejszenie progresywności podatku od dochodów przywraca jed-

nostkom swobodę dysponowania oszczędnościami i zachęca jednocześnie do inwestowania oszczędności.

Poza tym poleca się zwolnienie od podatku dochodów zainwestowanych.

Liberalny model obywateli i przedsiębiorców oszczędzających, wymiany swego czasu przez marksizm jako propagujący rentierstwo i pasywność społeczną, a następnie odsunięty w cień przez tendencje głoszące rozwój społeczeństwa konsumpcyjnego, obecnie okazuje się znów atrakcyjny. W kręgach ludzi pracy, będących zarazem oszczędzającymi i konsumentami wraca hasło "bogaćcie się przez pracę, oszczędność i uczciwość". Współcześni liberałowie dodają do tego także własność, podkreślając, że bezpieczeństwo ekonomiczne warunkujące powrót do zaufania i gospodarczego wzrostu nie będzie dostateczne, dopóki własność nie zostanie całkowicie zrehabilitowana.

Ograniczenie roli i dochodów państwa budzi obawy, że zostaną ograniczone jego funkcje ochronne, co odbije się przede wszystkim w sferze opieki społecznej. Liberalizm zajmuje tu stanowisko obronne twierdząc, że śmieszne jest obciążanie go zarzutem, iż dąży do likwidacji tej opieki, której w istocie zagraża głównie złe zarządzanie. W państwie liberalnym natomiast gwarantowana opieka na wypadek choroby i nieszczęść musiałaby wchodzić w skład umowy zawartej między obywatelami a państwem. System opieki społecznej winien być też utrzymany za wszelką cenę z przyczyn zarówno humanitarnych jak i ekonomicznych, ponieważ zwiększenie indywidualnego ryzyka, wywoła niekorzystne dla wzrostu gospodarczego postawy wyczekiwania i asekuracji gospodarczej.

Oprócz tego liberalizm proponuje zwiększenie możliwości wyboru również w dziedzinie opieki społecznej poprzez stworzenie konkurencyjnych firm prywatnych /np. leczniczych/, co powinno jednocześnie podnieść jakość usług. O sytuacji, gdy opieka ta, będąc domeną państwową i tak coraz bardziej drożeje, płaciłoby się może drożej, ale za coraz to lepsze usługi. Interesującym przykładem właściwego w tej dziedzinie rozwiązania jest według G. Sormana amerykańska Health Maintenance Organizations, która jednocześnie ubezpiecza klientów i sprawuje opiekę nad ich zdrowiem. Chcąc utrzymać równowagę finansową musi ona oferować swym pacjentom możliwie najwyższy poziom usług przy utrzymaniu możliwie najniższych kosztów. Tego typu instytucje miałyby stanowić niezbędne uzupełnienie lecznictwa państwowego.

Ma to stanowić krok w kierunku zreformowania państwowego monopolu w myśl zasady, że monopole są niereformowalne, dopóki nie podda się ich konkurencji.

Wolny wybór należy zdaniem liberałów wypróbować wszędzie, przy czym najlepsze są w tej mierze amerykańskie wzorce reaganowskie. Po pięćdziesięciu latach upaństwowienia się społeczeństw zachodnich nastąpił tam nawrót "do ładu opartego na inicjatywie jednostki", nawrót do "indywidualizmu i odpowiedzialności własnej człowieka za swe losy". Wymagał on jednak od całej społeczności, a zwłaszcza od elit gospodarczych twardych wyrzeczeń podczas pierwszych trzech lat prezydentury Reagana.

Wizja organizacji życia gospodarczego, do której dąży liberalizm francuski, zakłada stabilność cen, konkurencyjność i demokratyzację

pracy oraz powstanie nowego modelu przedsiębiorstwa, zarządzanego w sposób demokratyczny, najlepiej przez udziałowców, składających się z pracowników partycypujących w dochodach firmy. Zmieniłoby to charakter stosunków międzyludzkich w zakładach pracy, podniosłoby rangę i możliwości pracowników oraz powinno doprowadzić do wspólnoty interesów i wspólnoty pracy.

Powinno także przynieść wyraźne efekty ekonomiczne, a więc stymulować dalszy wzrost gospodarczy i powstawanie nowych przedsiębiorstw.

Z nowymi firmami wiąże się też nadzieje na rozwiązanie problemu bezrobocia, ale podkreśla się, że pełne zatrudnienie nie może być uważane za "automatyczny produkt uboczny gospodarczego wzrostu". Zasięg i skala bezrobocia zależą bowiem nie tylko od braku miejsc pracy, ale także od systemu udzielania zasiłków, od różnorodnych przepisów prawnych i wielu zjawisk społecznych. Dużą wagę ma tu urzędowo zdefiniowana wysokość minimalnej płacy. Zastąpienie jej płacą elastyczną przy jednoczesnym zrehabilitowaniu pracowników strat udziałami w firmie pozwoliłoby na wypróbowanie nowej koncepcji niwelacji bezrobocia poprzez większe zaangażowanie pracowników w działalność ekonomiczną przedsiębiorstw.

Wysuwając szeroko zakrojony program gospodarczy liberalizm francuski zmierza jednocześnie do rozwiązań politycznych i instytucjonalnych, mających stworzyć warunki do realizacji postulatów natury ekonomicznej. Czas pokaże, czy dopełni on stawianych przed sobą zadań, lapidarnie sformułowanych w

Karcie Liberalnej

1. Bezpieczeństwo ekonomiczne Francuzów Zapewnione będzie poprzez:
 - niezależność Banku Francuskiego w dziedzinie zarządzania pieniędzem
 - przekształcenie podatku od dochodu w jeden podatek od wydatków: ustalenie pułapu opodatkowania i odejmwalność oszczędności.
2. Wolność wyboru zabezpiecza się w sferze:
 - opieki społecznej
 - nauczania
 - informacji

i w Lokalnej Karcie Liberalnej

Ograniczenie finansowe

- lokalne podatki, pozostające w gestii stąkiej, ustawowej wia-dzy - nie będą rosły szybciej niż dochód narodowy.

Odbiurokratyzowanie

- żadna nowa służba publiczna nie będzie powierzona administracyjno-państwowemu zarządowi, jeśli może być powierzona inicjatywie prywatnej. Służby publiczne, będące dotychczas pod za-

rządem administracyjno-państwowym poddane zostaną testowi celem sprawdzenia, czy nie byłyby lepiej prowadzone jako przedsiębiorstwo prywatne lub zrzeszenie.

Nie-intervencja gospodarcza

- żadna bezpośrednia pomoc, pod żadnym pretekstem nie będzie udzielana przedsiębiorstwom

Demokracja

- opozycja, lokalne środki informacji oraz stowarzyszenia traktowane będą w sposób liberalny. Jeśli zaistnieją wyjątkowe okoliczności przemawiające za odstępstwem od wyżej wymienionych zasad: ograniczenia finansowego, odbiurokratyzowania i nie-intervencji gospodarczej - miejscowa ludność wypowie się w formie referendum.



Michał Rodziński

Na szlaku znikąd donikąd...

Kryzys społeczno-gospodarczy w Polsce trwa i przybiera na sile od 11 lat, od czerwca 1976 r., kiedy wyszło na jaw, iż program budowy "drugiej Polski" zakładał się, skutki zaś - zgodnie z istniejącą "tradycją" - próbowano przerzucić na barki społeczeństwa. Stało się wówczas jasne, że skończyły się miraży, a za złudzenia przyjdzie zapłacić wysoką cenę; że nie będzie "Polska rosła w siłę", nie będą też "ludzie żyli dostatnio"... Jeszcze ekipa Gierka-Jaroszewicza zaaranżowała "manewr gospodarczy"; jeszcze zdołano "prolongować" terminy płatności weksli bez pokrycia; jeszcze raz zaapelowano do narodu o poparcie... Lecz na nic okazały się wszystkie zabiegi-wybiegi, mające na celu ućpić niepokój społeczny, odwrócić uwagę robotników od rzeczywistych dylematów, nie dopuścić, aby zaczęli zastanawiać się nad przyczynami kryzysu i szukać jego prawdziwych sprawców.

Nie spełniły się rachuby zręcznych szulerów politycznych i ignorantów w dziedzinie gospodarczej. SIERPIEŃ 1980 przekreślił wszelkie ich nadzieje związane tak z "manewrem gospodarczym" /który właściwie pozostał na papierze/, jak i z innymi "manewrami", uprawianymi przez rządzących w Polsce od początków władzy, która nazywała się "ludową". Trzeba było coś powiedzieć społeczeństwu i gniewnym robotnikom Wybrzeża, Śląska, Warszawy, całego kraju... Wówczas /z dużym opóźnieniem/ powstał w lipcu 1981 r. Rządowy Program zmierzający do przeciwciażania kryzysu oraz stabilizowania gospodarki kraju. "Program" zwracał uwagę na cztery podstawowe dysproporcje "powodujące stan głębokiej nierównowagi w gospodarce, leżące u podstaw obecnego kryzysu", czyli:

- przekroczenie dopuszczalnego zadłużenia zagranicznego...
- przeinwestowanie i niemożliwość wykorzystania zbudowanego potencjału z braku surowców, materiałów itp., zwłaszcza z importu...
- głębokie dysproporcje w zdolnościach produkcyjnych, szczególnie w naszym przemysłem paliwowo-energetycznym a pozostałymi gałęziami...
- ogromna nadwyżka siły nabywczej społeczeństwa nad podażą towarów i usług pogłębiona przez nasilającą się inflację...

"Okazało się", że zadłużenie zagraniczne wynosi przeszło 20 mld dol. i przekracza 2,5-krotnie tzw. granicę bezpieczeństwa, za którą uznaje się zasadę, iż całość zadłużenia nie może być większa niż roczna wartość eksportu, a "obsługa kredytów" /spłata kolejnych rat i oprocentowania/ powinna być utrzymana na poziomie 25 proc. rocznej wartości eksportu...

"Okazało się", że dług wewnętrzny państwa /czyli po prostu pieniądź bez pokrycia/ oscyluje w granicach 200 mld zł...

"Okazało się", że w trakcie budowy "drugiej Polski" nastąpiła... dekapitalizacja majątku "pierwszej", szczególnie w odniesieniu do aparatu przetwórczego, maszyn i urządzeń, których zużycie - zróżnicowane w zależności od branży - obejmowało 50 proc. potencjału...

W budynkach było jeszcze gorzej...

6 lat temu, w niezwykle dramatycznych okolicznościach, rząd przyrzekł przeprowadzenie reformy gospodarczej, stwierdzając, że "jedyną drogą wyjścia z obecnego kryzysu jest zwiększenie produkcji oraz dokonanie w niej takich zmian strukturalnych, które zapewnią lepsze zaspokojenie najpilniejszych potrzeb społecznych i eksportu". Stwierdzono stanowczo, iż "kraj nasz ma /więc/ szansę wyjścia z kryzysu w podstawowych dziedzinach w ciągu 3-4 laty". W produkcji roślinnej w ciągu 2-3 lat; w produkcji hodowlanej w ciągu 3 lat /lub dłużej/; w produkcji przemysłowej w ciągu 3-4 lat; w dochodzie narodowym w ciągu 5-6 lat; zapoczątkowanie zmniejszania zadłużenia za granicą w ciągu 6-7 lat. Wszystko to jednak miało stanowić jedynie kamuflaż dla zasadniczego "manewru" - podwyżkę cen detalicznych... "Rząd stwierdza, że społeczeństwo nasze stoi w obliczu następującej alternatywy - albo utrwalenie obecnych trudności rynkowych na długi okres... jeżeli dotychczasowy poziom cen detalicznych nie ulegnie zmianie; albo przeprowadzenie jak najszybszej zmian cen detalicznych, zmniejszających nadwyżkę siły nabywczej ludności...". Działo się to w sytuacji, kiedy j u 2 1/3 ludności znajdowała się na granicy minimum socjalnego...

.....

W SZESĆ LAT PÓZNIJ... naznaczonych burzliwymi wydarzeniami, a przede wszystkim WPROWADZENIEM STANU WOJENNEGO, który miał na celu ratowanie pozycji rządzących, zagrożonej ostatecznie w konfrontacji z rządzącymi; który miał na celu utrzymanie starych mechanizmów sprawowania władzy w zgoła odmiennej od dotychczasowej sytuacji /przy pewnych korektach, nie naruszających "pryncypiów systemowych"/... społeczeństwo polskie n a d a l znajduje się w obliczu nierozwiązanych, spotęgowanych przez te lata dylematów tak społecznych, jak i ekonomicznych.

Po latach meandrow na obszerze "reformy", werbalnych deklaracji polityków i zdecydowanej obstrukcji aparatu, zwłaszcza partyjnego, który widział we wszystkich zmianach zagrożenie swojej uprzywilejowanej pozycji /rządzić i za nic nie odpowiadać/, postępującej pauperyzacji szerokich kręgów społeczeństwa i jego zmeczenia brakiem poprawy, niewiara w pomyślniejszą przyszłość... znaleźliśmy się w punkcie wyjścia, a właściwie w sytuacji bardziej skomplikowanej, gdyż z jednej strony występują zjawiska rezygnacji i ukrytej zarazem frustracji przytkaczającej większość obywateli, z drugiej zaś pole manewru ekipy rządzącej /niesłyszanie sprawnej w sensie socjotechnicznej, zdolnej jeszcze do gry w niedoczasie/ kurczy się w sposób cozywisty.

Serwując społeczeństwu "II etap reformy" i niewiele mówiąc o przyczynach niepowodzenia "pierwszego", nomenklatura ustami premiera Zbigniewa Messnera oświadcza:

"Zgodnie z uchwałą X Zjazdu program II etapu przewiduje dokonanie zasadniczych zmian jakościowych w systemie funkcjonowania polskiej gospodarki, będących kontynuacją i intensyfikacją rozpoczętego przed 6 laty procesu reform... Okres tych 6 lat z pewnością nie został stracony... /podkreślenie - moje/.

I r z o c z y w i ę s i ę ...

- zadłużenie zagraniczne wzrosło z 25 mld dol. do 36 mld dol., wartość eksportu zaś spadła o połowę /do krajów kapitalistycznych/ i w ten sposób granica bezpieczeństwa jest przekroczona 6-krotnie !/
- dług wewnętrzny wzrósł 4-krotnie i wynosi obecnie przeszło 800 mld zł
- notuje się dalszy postęp dekapitalizacji majątku narodowego, która sięga: w gospodarce komunalnej - 37,7 proc.; w przemyśle - 62,5 proc.; w budownictwie - 82,1 proc.; w transporcie 47,9 proc.

Według oficjalnych danych występuje spadek spożycia w rodzinach emerytów i rencistów; pogorszenie stanu zdrowia społeczeństwa /wzrost współczynnika zgonów, w tym niemowląt/, pogorszenie kondycji psychofizycznej młodzieży, zwłaszcza akademickiej; wzrost spożycia używek, a przede wszystkim alkoholu, co rzutuje ujemnie tak na stan zdrowotny społeczeństwa, jak i na niską wydajność pracy.

Wg. statystyk GUS-u średnioroczny wzrost kosztów utrzymania w latach 1981-1985 kształtował się w wysokości:

35,6 proc. w rodzinach pracowniczych i 37,2 proc. w rodzinach chłopskich. Natomiast spadek dochodów przedstawiał się: w rodzinach pracowniczych o 19 proc. i w rodzinach chłopskich - o 17 proc.

Mimo, iż w ostatnich latach jedynie rolnictwo pozostawało "jasnym punktem" na tle ponurej panoramy gospodarki polskiej, a chłopci prezentują raczej postawę produkcyjną niż konsumpcyjną, tj. przeznaczają dodatkowo dochód na inwestycje w gospodarstwie, sytuacja dochodowa rolników była i jest bardzo zróżnicowana. Jak wynika z Raportu o stanie wsi i rolnictwa /opracowanego przez niezależnych ekspertów na zlecenie Episkopatu/ dochody realne rolników wyraźnie się obniżyły... Od 1982 r. ceny usług i towarów zakupywanych przez chłopów rosły szybciej niż ceny skupu płodów rolnych... Wówczas ok. 40 proc. rodzin chłopskich nie osiągało minimum socjalnego, a dziś 2/3 ogółu gospodarstw ma dochody mniejsze lub równe średnim dochodom przypadającym na pracującego poza rolnictwem.

- x -

"Władze dokładnie wiedza, co należy zrobić, by zmienić katastrofalny stan gospodarki, tyle że panicznie boją się uczynić cokolwiek" - pisał w numerze 209/87 tygodnik CDN. Z kolei ocena tzw. pakietu gospodarczego brzmi, iż zamierzenia rządu "iść w dobrym kierunku, lecz nie daje żadnych gwarancji, że kierunek ten będzie utrzymany". Nie będą polemizować z pierwszym stwierdzeniem, aczkolwiek mam pewne wątpliwości... Natomiast wspomniane "zamierzenia" są poważnie opóźnione /właśnie o co najmniej 6 lat!/, zaś ani partia ani rząd nigdy nie respektowały własnych uchwał i postanowień; reprezentanci elity władzy zakładają programowo, że nikt nic nie wie, o niczym nie pamięta, a nawet jeśli się zna na temacie... "ostatnie słowo" i tak będzie miała władza.

Sięgnęliśmy następnie do dokumentów sprzed 6 laty nie po to jedynie, by pokazać podobieństwa lub udowodnić nieudolność rządzących w reformowaniu gospodarki... przecież dziś wszyscy mają pełną świadomość, iż system nie jest reformowalny, a gospodarka opiera się o struktury kryzysogenne, a przeto nie może być efektywna; będzie zawsze marnotrawna,

a system niemoralny. Przecież w ciągu tych lat "wychodzenia z kryzysu" rządzący mieli pełną świadomość, iż powielają oni te same błędy, które w swojej skumulowanej postaci doprowadziły kraj do nieprawdopodobnej sytuacji, kiedy a czasach pokoju, bez żadnego "nadprzyrodzonego" powodu, kataklizmu lub wstrząsu, swym Zasięgiem ogarniającym kraj położony w sercu Europy, kraj o określonym potencjale przemysłowym, zasobny w surowce, mający liczną ludność o dobrej strukturze wieku i pokazywanych grupach zawodowych, legitymujących się wysokimi kwalifikacjami... żeby w takim kraju zaistniał kryzys, trwający 11 lat! KRYZYS, KTÓREGO KOŃCA NIE WIDAĆ!!!

Przecież w ciągu tych lat ośrodki dyspozycji politycznej i gospodarczej odbierały liczne sygnały ostrzegawcze. M.in. już w lipcu 1982 r. Konsultacyjna Rada Gospodarcza /w pomurym dowcipie, co prawda, nazywana "Radą Daremnej Perswazji"/ w "Prognozie ostrzegawczej" zwracała uwagę na występujące zagrożenia tak na odcinku równowagi rynkowej, jak i na presję inflacyjną. Przede wszystkim jednak akcentowano "ograniczenie pola działania reformy gospodarczej... osłabienie podstaw rachunku ekonomicznego w przedsiębiorstwach... Zachwianie systemu motywacyjnego... osłabienie więzi towarowej między miastem a wsią... brak warunków dla wzrostu podaży dóbr i usług...".

W rok później profesdrowie Wiktor Herera i Władysław Sadowski na łamach "Życia Gospodarczego" stwierdzali, że "Nie wszyscy jednak świadomi są tego, że tak głęboki, 25 proc. spadek dochodu narodowego nie zdarzył się po drugiej wojnie światowej nawet w przybliżonej skali w żadnym kraju świata /w warunkach pokojowych/". Oceniając sytuację rynkową /w końcu jest to "arena", na której odbywa się zazwyczaj konfrontacja rządzących z rządzonymi/, pisali: "Poprawa sytuacji na rynku artykułów żywnościowych nie powinna przyszczać ogólnego obrazu...". I dalej... "Trzeba szukać nowych i niekonwencjonalnych sposobów przywracania równowagi, stwarzając im klimat zaufania społecznego... Na pewno jednak nie można liczyć na to, że reforma gospodarcza stopniowo odbuduje rynek i system pieniężny... Nie w reformie tkwi sedno sprawy, ale w zmistyfikowanym sposobie myślenia o jej funkcjach i możliwościach; oczekujemy od niej tego, czego nie da, gdyż dać nie może".

A kiedy Ryszard Bugaj odważnie i w sposób udokumentowany wystąpił w styczniu 1986 r. na łamach "Tygodnika Powszechnego" z artykułem pt. "Dlaczego kryzys się przedłuża", został w szczególnie niewybrednym stylu zaatakowany przez Krzysztofa Kraussa z "TL" i Zygmunta Szelię z "Polityki" oraz innych "zaprogramowanych" publicystów, którzy nie dostrzegali ani problemu, ani zagrożenia!!!

Ryszard Bugaj skłusznie ze wszech miar stwierdzał: "...w systemie regulacyjnym gospodarki pojawia się coraz więcej rozwiązań wyraźnie sprzecznych z wiodącymi ideami reformy, a w sferze polityki gospodarczej zapada wiele decyzji, które determinują niekorzystne materialnie stany gospodarki".

Fakt, że w latach 1983-1984 wykorzystano "resztki" ekstensywnych rezerw; że forsowano krótkookresowy wzrost za cenę perspektywy; że

efektywnością przejmowano się jedynie werbalnie, nie tworząc konkretnych warunków jej osiągnięcia - pozwoliło to na ukazanie społeczeństwu jeszcze jednego miarza - poprawy sytuacji gospodarczej, co miało przede wszystkim służyć uwłarygodnieniu polityki ekipy generała Wojciecha Jaruzelskiego, polityki prowadzącej Polskę znikąd donikąd... Ryszard Bugaj ostrzegając: "Kluczowe znaczenie w najbliższych latach mieć jednak będą coraz twardsze, długookresowe "bariery" wzrostu. Jest ich, niestety, wiele: dekapitalizacja majątku produkcyjnego, luka technologiczna, dewastacja środowiska, pogarszająca się struktura demograficzna, niewydolność infrastruktury, deficyt energii i materiałów".

Czy mając pełną świadomość main. istnienia energo- i materiałochłonnej struktury przemysłu, uczyniono cokolwiek, aby ją zmieniać /jest to, oczywiście, proces, ale nie tak już długi, na co wskazują doświadczenia innych/, nie zaś n a d a l powielać stare błędy? Dobrze. Nie mówmy o przeszłości, chociaż bardzo świeżej daty, której następstwa cięża i ciężać będą na naszej gospodarce w nadchodzących latach... Proponuje się d a z i ś II etap, który "powinien zrewolucjonizować układ społeczno-ekonomiczny w Polsce"... A NPSG na okres 1986-1990, który zawiera w s z y s t k i e z n a n e u l c m n o ś c i tak koncepcyjne, jak i strukturalne... Co z NPSG? Co z decyzjami inwestycyjnymi, utrwalającymi strukturę, przy której GOSPODARKA ZJADA SIĘ SAMĄ?

Trzeba przypomnieć znaną prawdę, że polscy planiści opanowali niezbyt skomplikowaną metodę b i l a n s o w ą, jako podstawy planu oraz metodę prostej ekstrapolacji, czyli przeniesienia okresów przeszłych na przyszłość. Zawsze dążyli do uzyskania równowagi /nigdy im się to nie udawało.../ i wruszali ramionami, kiedy słyszeli, że w cpnii Japonczyków równowaga nie jest ani pożądana, ani osiągalna, potrzebny natomiast jest dynamiczny brak równowagi. Nie przemawiali również do ich wyobraźni tendencje zachodzące w rozwiniętych krajach kapitalistycznych, gdzie uznano górnictwo, hutnictwo, a nawet przemysł stoczniowy za galezi nieperspektywiczne, galezi kryzysogenne //

Jeszcze w trakcie przymiarek do projektu NPSG 1986-1990 istniała powszechna świadomość /ale nie w Komisji Planowania/, że program inwestycyjny nie tworzy przesłanek do wzrostu efektywności; nie preferuje rozwoju nośników postępu technicznego i technologicznego. W opinii niezależnych ekspertów Polska nie ma szans wejścia w ciągu 10 czy 15 lat do szóstki wytwórców elektroniki. Nadal rozbudowuje się hutnictwo /Huta "Katowice"/; nadal buduje się n o w e kopalnie węgla //; nadal przedsiębiorstwa /rzekomo samodzielne/ nie mogą realizować ze środków własnych nieodzownych inwestycji odtworzeniowo-modernizacyjnych, głównie z braku pokrycia rzeczowego.

W 1981 r. zatrzymano 1600 inwestycji //... Zdawałoby się, iż powstaje wielka szansa podjęcia dyskutowanej jeszcze w drugiej połowie lat sześćdziesiątych polityki selektywnego rozwoju gospodarki i jej unowocześnienia. Przez trzy lata nie zdołano ustalić listy inwestycji, które mają być kontynuowane, a zarazem zrezygnowanie ostatecznie z inwestycji "chylonych". W końcu lobby górnictwo-hutnicze, któremu

przewodzący wice-premier Zbigniew Szajda /dzisiaj obiecuje, że "reforma uda się w 80 proc. pewnością", znowu wmanewrowało gospodarzkę w inwestycje kapitałochłonne, o długim cyklu amortyzacyjnym, na bieżące zaś "tłoczących" pieniądze bez pokrycia w towarach rynkowych.

Koszt wydobycia węgla również średnio o 25,7 proc. Dotacje w przemyśle węglowym osiągnęły w roku ub. 264,5 mld zł /!/. Średnia cena węgla na świecie wynosi ok. 45 dol./t, koszt własny zaś - 60 dol./t. W nowo budowanych kopalniach Lubelskiego Zagłębia Węglowego koszt własny za 1 tonę wyniesie 150 dol. /!/. Budowa 7 nowych kopalń węgla pochłonie 334 mld zł /wg cen planu/.

"Fascynacja" węglem przyczyniła się walcie do niewłaściwej struktury paliwowo-energetycznej i horrendalnej rozrzutności, której nie dały rady żadne kolejne "programy oszczędnościowe". W Polsce zużywa się na 1000 dol. wartości produkcji - 1290 kg tzw. paliwa umownego, czyli 5-krotnie więcej w porównaniu z krajami rozwiniętymi.

Nakłady na hutnictwo w NPSG w latach 1986-1990 w porównaniu z pięcioletnim 1981-1985 wznoszą się o 87-108 proc., przy czym znaczną część pochłania surowcowa część hutnictwa, głównie Huta "Katowice".

Łącznie górnictwo i hutnictwo "skonsumują" 80 proc. nakładów inwestycyjnych, co przekreśla jakiegokolwiek zamierzenia restrukturyzacyjne w gospodarce narodowej.

"Twarde finansowanie" dotyczy niemal wyłącznie inwestycji przedsiębiorstw, nie zaś inwestycji centralnych. Konwersja - restrukturyzacja - zmiana struktury własnościowej - to tematy do dyskusji teoretycznych, nie zaś cele, do których powinna dążyć nasza gospodarka. **N a d a l b r a k a l t e r n a t y w y r o z w o j o w e j !** Dziś już nie możemy mówić o "błędach i wypaczeniach". Jest w tym wszystkim logika i system u. Wszystkie reformy w tym układzie skazane są na fiasko, jeżeli najpierw nie zakwestionuje się doktryny, jeżeli nadal aparat partyjny będzie sterował wszystkim - za nic nie ponosząc odpowiedzialności /!/

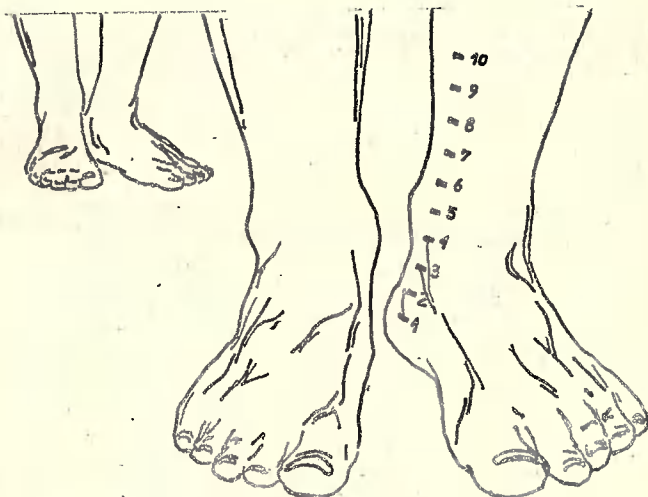
Wiele w naszej gospodarce, w dziedzinie ulotnej wciąż równowagi rynkowej, zależy od rolnictwa, o którym wspomniano wyżej, ale raczej mimochodem jak gdyby... Poważne nakłady inwestycyjne kieruje się do przemysłu ciągnikowego, gdzie wciąż dyskutuje się, czy ma być 100 tys. ciągników czy 60 tys. ... Tak, "traktozacja" jest potrzebna, ale jeszcze bardziej wieś potrzebuje wody, a program melioracji legł w gruzach; potrzebne są środki ochrony roślin, a dewizy wydaje się na zakup urządzeń dla hutnictwa itd. Rolnictwo, żeby wyżywić kraj, musi mieć kilkunastoprocentowy udział w produkcji przemysłu; u nas 7-8 procentowy udział ma nastąpić w 1990 r.

Mamy niewłaściwą strukturę rolną... 600-700 tys. gospodarstw prowadzonych przez młodych rolników, wyposażonych w odpowiednie środki produkcji, wytwarzających o 1/3 taniej niż przeciętnie w rolnictwie - oto pożądany model, który zarazem umożliwi "wymianę" 2-2,5 mln rolników mniej produktywnych, po prostu starych, nie mających odpowiednich kwalifikacji. Lecz to już sprawa nie tylko polityki rolnej państwa /znanej z doktrynalnych meandrów/, ale samych chłopców, ich niezależnych organizacji, wreszcie Kościoła.

Przemysł rolno-spożywczy, cały kompleks przetwórczy, potrzebuje inwestycji szybkorentujących się... Państwo nie ma na to środków; państwo blokuje zarazem wszelkie inicjatywy /Kościoła/; państwo nie potrafi /bądź nie chce/ uzyskać kredytów zagranicznych na konkretne cele, związane z modernizacją gospodarstw chłopskich, gdyż... jest to sprzeczne z doktryną !/!

NPSG informuje /na 366 str.!/ m.in. ile będzie wynosić produkcja zapalek i mydła w 1990 r., ale o proporcjach, o równowadze gospodarczej, o rolnictwie, zmianach struktury przemysłu, bilansu handlu zagranicznego wypowiada się w kontekście ogólnikowych deklaracji i postulatów, w oderwaniu od zamierzonych zmian systemowych, które mają rzekomo "zmienić oblicze kraju"... Stwierdzenie - "będzie się dążyć" d z i ó nie oznacza już NIC!

Mówienie o II etapie reformy jako o "wielkiej szansie Polaków", w świetle doświadczeń związanych z licznymi nieudanymi próbami, nie może nikogo porwać. Partia straciła nieodwołalnie wiarygodność... o ile kiedykolwiek ją posiadała. Najpierw więc odrzućmy model monopartyjnej dyktatury, a następnie możemy przystąpić do p i e r w s z e g o etapu rzeczywistej reformy struktur nośnych naszego kraju, którą może poprzedzić referendum.



Jan Michta

Przysty zmysły

Burza zerwała się nagle. Zwycięstwo przyszło niespodziewanie łatwo i szybko. Dowartościowane poczuły się środowiska i prasa katolicka. Nie omieszkał też podpisać się pod tym wydarzeniem Episkopat z wyżym swojej potęgi, całym akapitem oświadczenia, chwalał swoje najdzielniejsze owieczki i dyskontując po trosze ów sukces.

Zagrzmiali "wolnomysłwiciele" spod znaku ortodoksji filozofii marksistowskiej: Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej. Zrada - zakrzyknęli - zrada, towarzysze! - i tylko brak drzwi oraz organizacyjna dyscyplina powstrzymała ich przed bardziej Rejtanowskimi gestami w walce z napierającym żywiołem obskurantyzmu.

Znaleźli się w sytuacji wielokrotnie wypróbowani liberałowie typu Passenta i Koźniewskiego oraz liczni ich młodzi koledzy oraz śmiecie sobie poczynający na łamach odnowionych-przestrojonych periodyków. Niby to próbowali mediacji, konstatawali wspaniałomyślność władzy wsłuchującej się w odgłosy społeczeństwa, a nawet jego szczęści, ale w sumie ostrzegali przed Ciemnogrodem i polską odmianą chomeinizmu.

Zażenowała się prasa niezależna. Trudna to dla niej sprawa, a cała sytuacja wielce niezręczna. Na powielaczowych ramach kolejne doniesienia o mądrzejszych bądź głupszych happeningsach WiP-u, oświadczenia Znowu zorganizowanych przywódców, raporty ekspertów kadł przybywamy, gdzie jesteśmy, dokąd zmierzamy, a tu życie przynosi pasztet godny raczej dziadunia Boya. Wręczcie odwagą cywilną wykazał się "Tygodnik Mazowski" publikując tekst "W obronie zdrowego rozsądku" pióra Hanny Dzdziałek, która wystąpiła z gorącym apelem w obronie "tych spraw".

O czym mowa? Skąd zamieszanie? Odpowiedź z pozoru jest prosta: podręcznik "Przysposobienie do życia w rodzinie" Wiesława Sokoluka, Dągmary Anđziak i Marii Trawińskiej, wprowadzony do szkół średnich, a następnie wycofany przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania.

Przysłuchując się z zacisza własnej alkowy wielce żarliwej dyskusji nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że książki nie czytało wielu zabierających głos, a już na pewno większość najbardziej zainteresowanych, tj. katolickich rodziców, w imieniu których ją obalono /a raczej zawieszono, bo taka jest wstępna decyzja ministerstwa - eksperci pracują!/.

Książka, moim zdaniem, jest taka sobie, średnia. Miejscami wieje nudą i przeniakowaniem /trudno jest pisać podręcznik/, miejscami zaś wydaje się być świetna. Porównując z innymi /Zbigniew Lew Starowicz, M. Wisłocka, M. Kozakiewicz i inni/ broni się chyba sama. Główne zarzuty, jakie jej postawiono, to instrumentalne traktowanie człowieka, nieuwzględnianie chrześcijańskich /katolickich/ wartości i ideałów związku dwóch ludzi. Skowem, za dużo o tym "jak to się robi", a za mało o sprawach emocjonalnych, miłości, harmonii itd. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że zarzuty te są mocno naciągane, bo np. podręcz-

nik zastawiają sobie dwie listy: "za" i "przeciw" podjęciu pożycia przedmażeńskigo. Tłustym drukiem głosi: "...często używany termin miłość fizyczna jest nieporozumieniem, bowiem bliskość ciała bez towarzyszącej bliskości psychicznej nie ma nic wspólnego z uczuciem miłości czy chociażby sympatii". Półgębkiem, bo półgębkiem, ale napomyka o nauce Kościoła w tej mierze i konieczności uwzględnienia własnego światopoglądu przed rozpoczęciem życia intymnego i stosowania antykoncepcji. Jak na polską szkołę - to wcale nie mało. Wreszcie książka opisuje życie płodu od chwili poczęcia, mówi o tym, że już po kilku tygodniach wyodrębniają się organy, główka, nóżki, rączki itd., że od samego początku jest to człowiek. To przecież musi dać do myślenia, zwłaszcza w kraju, gdzie dokoła słychać wielkie skrobanie.

Znamienne, że atak został skierowany w podręcznik, a nie we wszelką tego typu literaturę /często gorszą/. Słowem, społeczeństwo polskie zczyłoby sobie mieć wpływ na wychowanie nowych pokoleń. Nie sposób z tak ogólnie zarysowanym stanowiskiem nie zgodzić się. Na marginesie warto zauważyć, że chyba jedynym w miarę rozsądnym wyjściem byłoby uchylenie furtki dla szkół prywatnych i wyznaniowych. Mieliśmy to kiedyś u nas, istnieją takie szkoły w wielu krajach, zaś fakt, że stanowią margines szkolnictwa świadczy tylko o zapotrzebowaniu na nie. Nie odpowiada mi partyjno-państwowy monopol dla każdego etapu nauczania, ale też - przyznam szczerze - mam mieszane uczucia słysząc o kolejnej wojnie o krzyże. Wierzę, że dożyję czasów, gdy będę miał możliwość wyboru. Gdzie posłałbym wówczas swoje dzieci? - z pewnością tam, gdzie jak najmniej by im do głów wkładano, a w miejsce tego jak najszerzej by im te głowy otwierano, stawiano przed uczciwie zarysowanymi wyborami.

Cóż, może dożyjemy i tego. Na razie wróćmy jednak na ziemię. Fakty są takie, że środowiska katolickie, przy poparciu Kościoła, jakąś tam batalię dotyczącą oblicza naszej szkoły wygrały. Jeśli duch bojowego fundamentalizmu jeszcze ich nie opuścił, proponuję nową kampanię. Zapewniam, że poparcie będzie większe, a cała sprawa mniej żerująca.

Od września ubiegłego roku wprowadzono do szkół średnich Znowelizowane programy przedmiotu pn. "propedeutyka nauki o społeczeństwie". Zmiany MOiW, trzeba to przyznać, są wyraźne. Programy poprzednie, zmieniane wielokrotnie bez istotniejszych zmian, streścić by można krótko jako papkę propagandową, złożoną ze skróconego wykładu wulgarnego marksizmu, odrobinę tzw. ekonomii politycznej socjalizmu, bałwochwalstwa prosowieckiego, walki PRL o pokój itd., itp. Wszyscy w takiej czy innej formie przez to przechodziliśmy.

Nowy program wnosi trochę nowego, np. podstawy socjologii /grupy społeczne, formalne i nieformalne, potrzeby jednostki, zagadnienia narodu/. Ale przecież nadzieje przyskają szybko. Jako nadrzędny cel wychowania podaje program "...poznanie podstaw teoretycznych naukowego socjalizmu i aparatury pojęciowej współczesnych nauk społecznych". Ciągłe trzeba walczyć o strukturę klasową społeczeństwa i walkę klasową. Przy okazji hasła "naród" zaleca się omawianie "socjalistycznego modelu tworzenia się narodu na przykładzie ZSRR!"

Po dawnemu trzeba walczyć "przewodnią rolę" PZPR, a argumentować

to należy "politycznymi, historycznymi i społecznymi przesłankami". Nauczyciel ma wpoić uczniom, że z powodów j.w. PZPR pełni "...inspirowane, programowe i kontrolne funkcje wobec państwa, społeczeństwa i organizacji społecznych"! /podkr. J.H./

Nie ma wątpliwości, jakie treści mają się kryć pod hasłem "metoda naukowa poznawania świata". Tylko jedna jednostka lekcyjna poświęcona jest nauce społecznej Kościoła, a i to tylko jako element dla porównania "wartości politycznych w ideologiach burżuazyjnych, socjaldemokratycznych i ideologii komunistycznej". Pofatygowałem się przejrzeć wybór tekstów mających służyć do gruntowania tej "wiedzy". Poza krótkim i wyrwanym z kontekstu fragmentem papieskiej encykliki "Laborem exercens" niemal sami towarzysze. Od Marksa po Jaruzelskiego.

I tak można by jeszcze długo. Wątpliwości nie może mieć nikt. Szkoła polska zajmuje się komunistyczną indoktrynacją, nie daje możliwości wyborów światopoglądowych, politycznych, moralnych. Nie liczy się z postawami większości społeczeństwa, korzystając z monopolu oświatowego próbuje wyhodować polską wersję homo sovieticus.

I co? I raczej cicho. Żaden z posłów katolickich nie zgłasza interpelacji. Milczy prasa katolicka, zadawalając się spokojną i wyważoną pracą u podstaw. Episkopat czasem porusza zagadnienie troski o wychowanie w wierze i miłości oraz zagrożenia młodzieży ateizacją i postawami materialistycznymi, ale otwartej wojny nikt nie wypowiedział. Dlaczego tak się dzieje niestrudno odgadnąć, władza jest taka, jaka jest i wygląda na to, że szybko się nie zmieni. Trzeba współżyć w warunkach takich, jakie są. Czy jednak jest to stan, który można by nazwać consensusem? - na pewno nie.

Młodzież obraca się w dwóch światach. Nie przystają one do siebie zupełnie. Zaczadzenie komunizmem zdarza się chyba tylko sporadycznie, ale już cyniczne przystosowanie się dostrzec łatwo. Najczęstszą reakcją jest bunt i odrzucenie. Niestety, skłanianie to może do nihilizmu wobec wszystkiego. Nie twierdzę, że za chwilę rozwiążemy problem szerzącej się patologii i różnych ruchów pseudoalternatywnych, ale jakimś przyczynkiem do ich zrozumienia w/w zjawisko może być.

Najbardziej w tym wszystkim są nauczyciele, i to nie tylko dlatego, że zarabiają tak marnie. Z jednej strony zobowiązani są do wypełniania swoich obowiązków. Z drugiej zaś muszą zdawać sobie sprawę z odbioru tego, co mówią i prezentują sobą przez młodzież i środowisko. Jaki więc wybór: wallenrodizm albo kompromis. Dominuje - nie ma co się łudzić - to drugie. Wielu odchodzi z zawodu. Pomocy, zachęty do godnego wytrwania nie otrzymują zbyt wiele.

I tak to jakos trwa. Wszyscy się już do tego przyzwyczaili i niktogo to nie ekscytuje. Fakt, dużo to mniej podniecające od tajemnic alchimy.

Ewa Pańska

O szkołę polską!

W jednej ze znanych mi szkół białostockich, a można przypuszczać, że nie była to szkoła jedyna, dzieci w klasach 1-4 uczone były w październiku takiej oto piosenki:

On pokazał światu drogę.
Wielkie czyny myślą wzbudził,
a jednego tylko pragnął
- szczęścia wszystkich ludzi.

Ref. Mieszkał tutaj w Poroninie
u podnóża naszych Tatr.
Dziś piosenkę o Leninie
na Podhalu nuci wiatr.

Lubił kwiaty, kochał dzieci,
sprawiedliwej służby sprawie.
Sto narodów zawsze będzie
- imię jego sławić.

Ref. Mieszkał tutaj w Poroninie.
u podnóża naszych Tatr.
Dziś piosenkę o Leninie
na Podhalu nuci wiatr.

Do dziś nie wiem, czy ten głęboko religijny w swej istocie tekst oceniać w kategoriach farsy czy dramatu.

W ogólnopolskim - można powiedzieć - dramacie byłby to zaledwie drobny epizod jednego z pierwszych aktów.

Jeżeli zaś idzie o farsę, to niewykluczone, że dobijamy do czołówek światowej.

A swoją drogą, jak widać, wielokrotnie deklarowana postawa władz oświatowych sprzeciwiających się mieszanemu dzieci do polityki oraz zasada utrzymania świeckości szkoły, znajduje nareszcie właściwe odzwierciedlenie w praktyce.

Andrzej Miłoślawski

Cerkiew a państwo ateistyczne

W miarę jak zbliża się doniosła data 1000-lecia Chrztu Rusi Kijowskiej, która przypada na 1988 rok, rośnie nerwowość władz na Kremlu oraz zakłopotanie hierarchii prawosławnej, bez reszty zniewolonej przez państwo ateistyczne, traktowanej przez partię komunistyczną w sposób absolutnie instrumentalny, wyłącznie w kontekście polityki zewnętrznej Moskwy. Po dziś dzień nie ma żadnego ogólnokrajowego programu obchodów Milenium Rusi. Nieliczne imprezy pod auspicjami Cerkwi mają charakter kameralny, na użytek wąskiego kręgu osób zbliżonych do hierarchii, nielicznych duchownych i działaczy cerkiewnych w większych miastach, praktycznie bez udziału wiernych.

Można z pewnością stwierdzić, że Zainteresowanie Milenium Rusi jest bez porównania większe za granicą, aniżeli w samej Rosji Sowieckiej - państwie, którego Konstytucja "gwarantuje" wolność wyznań i praktyk religijnych; państwu, w którym m c z n a odebrać rodzicom dziecko, jeżeli rodzice pragną wychować je w duchu religijnym. Natomiast hierarchia cerkiewna twierdzi, iż "wychowanie dzieci w duchu religijnym jest... gwałtem na osobowości ludzkiej w pogątkach jej kształcenia się" //

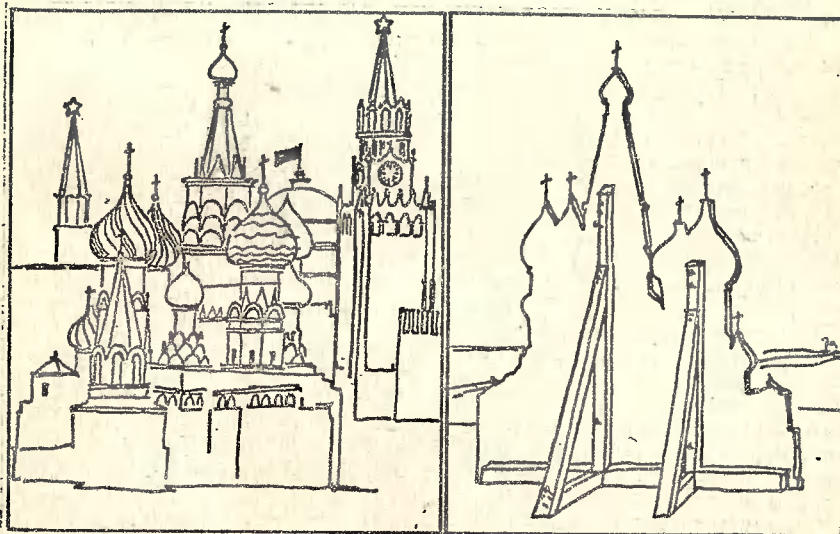
Ostatnio w RFN pod auspicjami kościoła katolickiego oraz kościoła ewangelickiego /niezależnie od siebie/ odbyły się sympozja, poświęcone 1000-leciu Chrztu Rusi, w których wzięli udział delegaci Cerkwi prawosławnej z ramienia patriarhatu moskiewskiego na czele z metropolitą Filaretem i metropolitą Pimenem. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczna, że duchowni z Rosji Sowieckiej nie wykazali zainteresowania życiem Cerkwi prawosławnej w Niemczech Zachodnich, a nawet nie pofatygowali się /30 km od Monachium, gdzie miało miejsce jedno z sympozjów/ do odwiedzenia cerkwi i klasztoru od lat istniejących w Niemczech.

Reprezentanci moskiewscy, wspomniani metropolici Filaret i Pimen, "zdecydowanie i z przekonaniem" występowali natomiast przeciwko tezom o prześladowaniach wierzących w Rosji Sowieckiej, zawartych w referacie profesora Dmitra Pospiełowskiego z Kanady.

"Deracjy" i politycy towarzyszący "niezależnym" hierarchom wypożyczyli swoich "podopiecznych" nawet w... materiały filmowe, m.in. stare kroniki z 1918 roku, nieme kadry których ukazują imponujący, ale o ponurem zdecydowanie aurze "kresny chod", czyli procesję na Placu Czerwonym z udziałem patriarchy Tichona. Zebranych na sympozjum uprzejmie wyjaśniono, iż była to procesja w okazji wybrania Tichona na trzon patriarchy. Dziwne wszakże wydało się widзом, iż sam Patriarcha, jak i jego duchowne otoczenie mieli na sobie o z a r n e, żąłobne więc stroje, a wyraz ich twarzy w zbliżeniu bynajmniej nie dowdził ureczysteju euferii. Przeciwnie... data procesji i jej aura

pozwalają sądzić, iż było to znane z kronik prześladowań Cerkwi zgromadzenie wszystkich procesji z poszczególnych, jeszcze dość licznych parafii moskiewskich, zwołane przez Patriarchę w obronie pierwszych ofiar krwawego terronu bolszewickiego, m.in. coraz liczniejszych duchownych. Być może właśnie wówczas Tichon zagroził /groźbę swą następnie spełnił/ ekskomuniką wszystkim, którzy wspierają władzę w jej represjach przeciwko Cerkwi, w narastającym procesie dewastacji i grabieży obiektów sakralnych, w masakrze na niespotykaną nawet w tym kraju znanym z okrucieństwa skalę. Tichon drogę zapłacił za wszystko. Również i za swój późniejszy błąd, kiedy podstępnie zmuszono go do odwołania ekskomunikacji i nawet do apelu o współdziałanie z władzami bolszewickimi, które "zagwarantowały" Cerkwi jej prawa niezbywalne. Nim został więc zamordowany przez czekistów, nieszczęsnemu kapłanowi ukradziono nawet cierniową koronę...

Metropolici Filaret i Pimen "godnie" reprezentowali za granicą interesy państwa ateistycznego, wbrew prawdzie, przeciwko Cerkwi, która w ciągu 70 lat panowania komunistycznego w Rosji Sowieckiej doznała bezmiarów gwałtu i zbrodni wobec niej, nieznanych w 1000-letnich dziejach chrześcijaństwa w tym kraju.



Szczyt Gorbaczow-Reagan zdecydowanie zdominował koniec roku 1987. Czy jego następstwa zdominują koniec dekady lat osiemdziesiątych i w jakim stopniu? Co się urodzi z tego spotkania i układu o likwidacji rakiet średniego zasięgu?

Zarówno obaj liderzy, jak i wszyscy chyba komentatorzy podkreślali epokowość i bezprecedensowość wydarzenia /całkowita likwidacja określonego rodzaju broni/. Jednak mimo zgodnego entuzjazmu, wydaje się, że w komentarzach tych tkwiła potężna nieszczerłość. Wynikająca z aktualnego układu sił, z wiedzy o sobie nawzajem partnerów dialogu, czy też może - jednak wrogów.

Osobście odebrałem to wydarzenie z bardzo mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, będąc, co z żalem muszę stwierdzić, pokojowo nastawionym do wszystkiego co żyje osobnikiem, z radością przyjąłem do wiadomości fakt, że jakieś miecze zostaną przekute na lemieszce. Jest to skądinąd zrozumiałe, bowiem przeliczanie czołgów na łóżka szpitalne, Pershingów na szkoły, a SS-20 na traktory, daje doskonałe efekty i łatwo przemawia do wyobraźni.

Z drugiej jednak strony gorsza, warcholska część mojej natury, podnieca larum - bij kto w Boga wierzy, jeszcze trochę a bolszewicy na dobre zainstalują się w Waszyngtonie.

Rzeczywistość okazuje się, jak zwykle, bardziej skomplikowana od naszych uproszczonych wyobrażeń. Doskonałym przyczynkiem do tych rozważań były poprzedzające szczyt telemosty Moskwa-Waszyngton, jak i postawa samego Gorbaczowa w Waszyngtonie, podczas różnych spotkań z obywatelami USA. Rosjanie zaprezentowali niezmienny od dziesięcioleci, twardy, spójny mur dialektyki. Na wszystkie najbardziej drażliwe i trafne pytania odpowiedź była w zasadzie jedna - a u was Kurzyńców biją. Jak łatwo więc zauważyć, kanon sowieckiej propagandy, a co za tym idzie, cele polityczne, którym służy, nie uległy zmianie. Nie jest to jednak propaganda ta sama. Zmieniły się metody i sposoby realizacji celów. W tej sytuacji Amerykanie zachowywali się co najmniej dziwnie. Sprawiali wrażenie człowieka, który zaprosiwszy do domu notorycznego chuligana i łgarza, zdaje sobie doskonale sprawę z zaistniałej sytuacji, a jednocześnie wyrozumiałym uśmiechem pokrywa nowe łgarstwa, jakby usiłując nawrócić łobuza na drogę cnoty, w imię innych, wyższych, dalszych celów, interesów. Jakże więc interesy załatwiano w Waszyngtonie?

W płaszczyźnie militarnej układ stanowi powrót do sytuacji z połowy lat siedemdziesiątych, do momentu sprzed rozmieszczenia sowieckich SS-20, jest więc dla Zachodu korzystny. Oczywiście pojawia się też małe ale. Kikt nie ma mianowicie pewności, że Rosjanie w międzyczasie nie wymyślili czegoś nowego, i że za parę lat znów nie trzeba będzie instalować jakiejś nowej generacji Pershingów. Jest to oczywiście

zmartwienie zachodnich specjalistów wojskowych i miejmy nadzieję, że można im w tej materii zaufać.

W płaszczyźnie propagandowej sam fakt podpisania takiego właśnie układu również jest sukcesem Zachodu, zwłaszcza z perspektywy społeczeństw bratnich krajów, gdzie dobrze się jeszcze pamięta kolejne radzieckie propozycje pokojowe w tej sprawie i jazgot propagandy komunistycznej towarzyszący głośnemu liczeniu rakiet już to francuskich, już to brytyjskich, czy też przeliczaniu ich na bombowce strategiczne. Gorbaczow, podpisując ten układ, zdark jakby swojej własnej propagandzie spodnie, spod których wyjrzało wiadomo co. W kinie niemym ten dobrze znany gag powoduje zawsze wybuch ożywczego, radosnego śmiechu, a wiadomo, że nic tak nie oczyszcza atmosfery jak śmiech, pozwalając jednocześnie na rozpoczęcie następnej sekwencji gagów, może już mniej śmiesznych. Wywód ten wydawać się może trochę karkołomny, przejdźmy więc do sedna.

Począwszy od Lenina, wszyscy radzieccy przywódcy głosili światu pokój i uprawiali politykę jak najbardziej pokojową. Skutki tej polityki najłatwiej rozpoznać porównawszy mapy polityczno-świata z roku powiodzmy 1920 i 1980. Szczyt sowieckiej ekspansji po II wojnie światowej miał miejsce w latach siedemdziesiątych, w latach osiemdziesiątych ekspansja ta została stanowczo i zauważalnie zatrzymana. Oprócz niewydolności gospodarczej komunizmu, przyczynił się do tego oczywiście prezydent Reagan, ale też nie bez znaczenia był, moim zdaniem, krach sowieckiej propagandy, jako pochodna wszystkich innych czynników. Powtarzane beznamietnym głosem, te same wytarte slogany-zaklęcia już dawno straciły moc. Gorbaczow, aby móc skutecznie kontynuować walkę o wszechświatowy pokój, potrzebował dużej wagi partykularnych posunięć, dystansujących go jakby od jego niezbyt udanych poprzedników. Takim właśnie wydarzeniem była, moim zdaniem, wizyta Gorbaczowa w Waszyngtonie.

Gdyby przeprowadzić dziś taką ankietę, zadać mieszkańcom Ameryki pytanie - Czy istnieje walka o świat? - i jakie konsekwencje płyną z tego pytania dla obywateli wolnego świata, wyniki takiej ankiety, obawiam się, mogłyby wprawić w osłupienie. Zwłaszcza w zestawieniu z hipotetyczną, podobną ankietą przeprowadzoną na przykład pięć lat wcześniej. W roku powiedzmy 82 czy 83.

W tym kontekście najbardziej optymistycznym akcentem wydarzenia pt. szczyt Gorbaczow-Reagan wydaje się być stutysięczna demonstracja przeciwników układu pod Białym Domem.

dokumenty

Regionalny charakter naszego pisma obliguje redakcję do odnotowywania wszelkich miejscowych inicjatyw niezależnych. Ze względu na wciąż żywą, jak wykazał przykład Gib, problematykę, zamieszczamy poniższy dokument, stanowiący jeden z przykładów działań społecznych zmierzających do likwidacji białych plam naszej najnowszej historii.

A P E L

do wszystkich uczciwych ludzi Białostockizny - całego kraju i redaktorów przebywających poza granicami PRL-u.

Spółeczny ruch - Liga Obrony Praw Człowieka Oddział w Białymstoku w pełni solidaryzuje się i czynnie popiera działalność Obywatelskiego Komitetu Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w lipcu 1945 r.

Jednocześnie zwraca się z gorącym apelem do społeczeństwa byłego województwa białostockiego o udzielenie konkretnych informacji o wszystkich obywatelach polskich Białostockizny, którzy po wyzwoleniu w lipcu 1944 r. w latach 1945-46 byli aresztowani przez wojskowe władze sowieckie lub zostali wywiezieni w głąb Rosji bolszewickiej, a o których wszelki śluch zaginął i brak wiarygodnej informacji o ich losie.

W powyższej sprawie prosimy kontaktować się listownie lub osobiście z następującymi osobami:

1. Jan Beszta-Borowski, Uhowc, ul. Borowska 7, poczta 18-100 Łapy
2. Leopold Stawcki, Białystok, ul. Stożeczna 148 m.8, 15-879, tel. 2 78 87
3. Czesław Zera, Białystok, ul. Antoniukowska 17a m.3

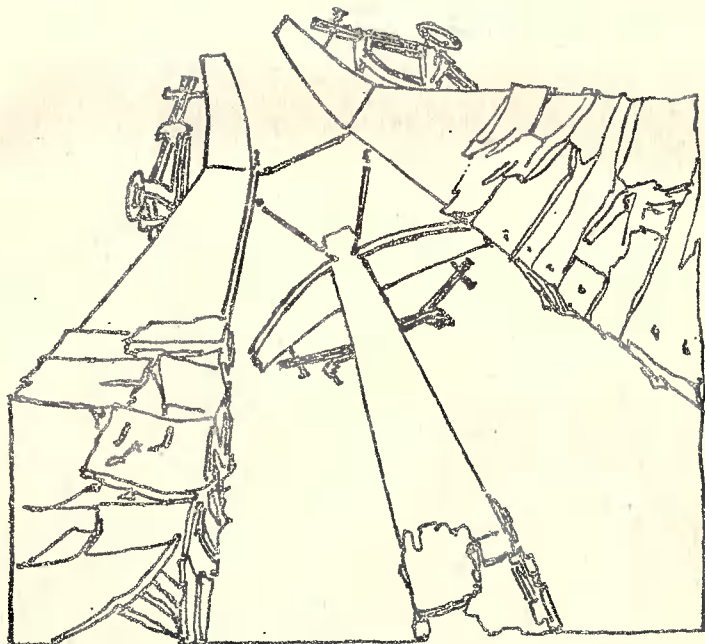
Informacje jak wyżej są niezbędne dla uzyskania danych potrzebnych do wszczęcia pozaurzędowych kroków celem ostatecznego ustalenia losu naszych ojców, matek, braci i sióstr aresztowanych lub wywiezionych po lipcu 1944 r. przez władze sowieckie. Jest to nasz chrześcijański obowiązek wobec nich. Kończymy nasz apel słowami Polaka, który poznał los tych ludzi w bolszewickim raju: "Boże, jeśli bym ja miał za-

pomnieć o nich, Ty Boże zapomnij o mnie".

Społeczny Ruch - Liga Obrony Praw
Czacwieka Oddział w Białymstoku

P.S.

Apel niniejszy został ogłoszony publicznie podczas uroczystej Mszy Św. za Ojczyznę w kościele pw. Niepokalanego Serca Maryi w Białymstoku - Dojlidy Fabryczne, koncelebrowanej przez x. Stanisława Suchowolca w dn. 22 listopada 1987 r.



ROZMOWY

„Ja nie jestem Oni” (2) z Wojciechem Lamentowiczem rozmawia Jacek Ratajczak

W.L.: To, co 13 grudnia uczynił dla pozabawienia partii twarzy, wiarygodności, tytułu do istnienia w roli siły rządzącej, tego nie zrobił ani ruch "Solidarność", ani wysiłki wewnątrzpartyjnych reformatorów, ani Gierk przez swoje i swego kierownictwa błędy. Nikt tyle, ile 13 grudnia - w imię jej ratowania. Uratowano ją jako strukturę organizacyjną, natomiast to, co jest substancją każdej partii, to znaczący emeryta jej członków, gotowość do działania, zdyscyplinowanie, lojalność wobec kierownictwa - to wszystko się rozpadło. W tej chwili jest tak, że na niektórych naradach sekretarza KC w wewnętrznym gronie muszą dokonywać takich gorzkich wyznań, że nawet pierwsi sekretarze komitetów wojewódzkich są tak oporni, że trzeba - jak się wyraził niedawno jeden z sekretarzy KC - popychać ich kolanem, żeby wypełniali polecenia płynące od kierownictwa centralnego. To jest sytuacja, która nie towarzyszyła ani Gomułce, ani Gierkowi, tym bardziej Bierutowi. Były rozmaite przejawy cichych oporów wewnątrz partii, ale nie dotyczyło to aparatu takiego szczebla. Otóż w tej chwili wytworzyła się sytuacja zupełnie specjalna. Czy ci ludzie, którzy stawiają taki opór lub przejawiają taki brak zaangażowania w realizacji linii partii mogą być traktowani jako dostatecznie skuteczne przedłużenie systemu władzy? Czy to są ludzie, którzy będą lojalni w sytuacji, gdy się okaże, że artykulacja swobodna znowu jest możliwa? Mam poważne wątpliwości. Erozja wewnętrzna jest znacznie głębsza niż oficjalnie ozyzniki chcą to przyznać. Jest to erozja, która nie dotyczy samej ideologii tylko, rozkładu wiary w tę berlińsko-stalinowską wersję socjalizmu, bo nawet pewne projekty reform ją podważają niejako. To jest erozja, która dotyczy rzeczy bardzo podstawowych, na przykład zwykłej dyscypliny organizacyjnej, nawyku, że to, co spływa z centrali, musi być wykonane. Nawet w okresie tego wzburzenia wewnętrznego, kiedy partia była podzielona, niejako przecięta między dołem a górą, sądzę, że dyspozycyjność była nadal większa, lojalność wewnętrzna nawet struktur poziomych wobec kierownictwa była ciągle jeszcze wyższa niż dzisiaj w wielu miejscach. Jawnie wówczas manifestowano swój krytycyzm, ale z drugiej strony kiedy kierownictwo partyjne poprzez działania przede wszystkim Kazimierza Barcikowskiego apelowało do przedstawicieli struktur poziomych, żeby nie robić drugiego zjazdu struktur poziomych, po pierwszym toruńskim - drugi miał się odbyć w spodku gdańskim w maju 1981 - żeby zawrzed

kompromis z kierownictwem partii, że gotowe jest ono zorganizować wspólną naradę, na którą przyjdą członkowie Biura Politycznego w roli członków komisji przedjazdowej centralnej i niech przyjadą przedstawiciele struktur poziomych i razem żeby to zrobić, żeby nie było widać, że jest rozłam. Że kierownictwo jest gotowe przyjąć liczne postulaty strukturalne i programowe wysuwane przez poziomych - to się na to zgodzono. Przygotowania do tego spotkania były już bardzo zaawansowane i gdy już uzgodniono bardzo szczegółowo, jak będzie wyglądała ta wspólna narada, kto ją otworzy, kto wygłosi referat - miał to być ktoś z kierownictwa partyjnego, ale zawierać miał ten referat wszystkie ważne postulaty struktur poziomych jako otwarcie do dyskusji. Cztery kolejne spotkania w Komitecie Centralnym przedstawiciele struktur poziomych z aparatem centralnym przygotowywały tę naradę. Była ona zaplanowana na poniedziałek jednego z tygodni na początku czerwca. W poprzedzający go czwartek odbyło się ostatnie takie spotkanie z aparatem KC, które zamknęło pulę przekazywanych postulatów programowych, personalnych i strukturalnych i w piątek wieczorem dowiedzieliśmy się, że agencja TASS donosi, iż jest list KPZR do KC PZPR z tym właśnie ostrzeżeniem. W sobotę aparat centralny odwołał to zgromadzenie, zaczęło się niestające posiedzenie Biura Politycznego i ostra walka frakcyjna, w której Stefan Olszowski i Tadeusz Grabski podjęli próbę obalenia Stanisława Kania, która nie powiodła się i później odbyło się to posiedzenie plenarne z początku czerwca - ono zaczęło się chyba we wtorek tego tygodnia, w którym miało być owo kompromisowe spotkanie poziomych i kierownictwa i w wyniku tego listu jedyną rozsądną rzeczą, jaką mogły zrobić struktury poziome, było zaniechanie dalszych działań, żeby nie utrudniać Kaniu sytuacji, żeby dać mu szansę. I do Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR struktury poziome zaniechały działalności, były lojalne tak, jak dzisiaj nie są żadne wpływowe organizacje wobec Jaruzelskiego i jego ludzi. Oczywiście konserwatywne skrzydło to wykorzystano. Natychmiast się pojawiły paszkwile, rozmaite donosy. To była końcówka kampanii przedjazdowej - zjazd miał być w połowie lipca - a ostatnie tygodnie przed zjazdem to była wolna przestrzeń dla wszystkich konserwatywnych sił w partii, żeby się zmobilizować i czystymi i nieczystymi metodami niszczyć nawet tych delegatów na zjazd, którzy byli już wybrani wcześniej i nie dopuścić później do ich wyboru do nowego Komitetu Centralnego. A Kania, jak gdyby pamiętając, że tak się właśnie stało, zaproponował sam do Biura Politycznego dwóch możliwie umiarkowanych reprezentantów struktur poziomych: Hieronima Kubiaka i Jana Zabędzkiego ze Stoczni Gdańskiej.

To było mniej więcej tak. Otóż ta postawa poziomych wtedy to była postawa głębokiego wewnętrznego zdyscyplinowania, bo przecież nikt im nie kazał siedzieć cicho. Sami do tego dochodzili swoim własnym rozumem politycznym, że ich zdyscyplinowanie jest w interesie partii jako całości i w interesie narodowym, i reformy, której Polska potrzebuje. I te wszystkie motywy brali pod uwagę. Kto dzisiaj w taki sposób myśli? Kto dzisiaj w ten sposób jest gotów się zachowywać, że niepopularne działania kierownictwa partii przetrwać z nadzieją,

że z nich wynikną jakieś dobre owoce. Co prawda, okazało się, że to zaufanie i lojalność były wyraźnie na kredyt. Okazało się, że zaraz po Zjeździe stworzono jeszcze komisje przy Komitecie Centralnym. Tworzone w ten sposób, żeby dać zdecydowaną przewagę aparatowi konserwatywnemu, który przegrywał wybory we wcześniejszych stadiach kampanii. Kooptowano w ten sposób do KC ludzi, którzy przegrywali wcześniej. /.../

26 czerwca, za obopólnym porozumieniem, została ze mną rozwiązana umowa o pracę w WSNS. Jesienią byłem już na powrót na Uniwersytecie. Byłem nadal dość aktywny publicznie, między innymi uczestniczyłem w próbie stworzenia stowarzyszenia społecznego, które miało być rodzajem spotkania między poziomymi działaczami partyjnymi, pewnym nurtem działaczy Stronnictwa Demokratycznego, PAX-u kierowanego wówczas przez Ryszarda Reiffa i działaczami "Solidarności" na poziomie regionalnym. Miało to być stowarzyszenie pod nazwą Polskie Przymierze Społeczne "Odrodzenie" z siedzibą w Szczecinie. W Komitecie założycielskim byli dwaj wiceprzewodniczący Regionu "S" Pomorza Zachodniego. Stowarzyszenie nie zostało nigdy zarejestrowane, stan wojenny temu przeszkodził.

Uznałem, że ponieważ Nadzwyczajny Zjazd partii miał taki przebieg, jaki miał, trzeba podejmować nadal próby reformy przez działania już na zewnątrz partii, otwarte do niepartyjnych środowisk zainteresowanych umiarkowaną, ale jednak głęboką demokratyczną zmianą. PPS "Odrodzenie" miało wyraźnie taki charakter. Odwoływało się do rewolucyjnych tradycji polskiego socjalizmu, chrześcijaństwa i pewnych tradycji radykalnie demokratycznych - miały się one łączyć od dołu dla sprawy odrodzenia kraju. Było to nawiązanie także do katolickiej organizacji o tej samej nazwie działającej w latach międzywojennej Polski. Wtedy byłem jeszcze członkiem PZPR. Co więcej, gdy pojawiały się pod moim adresem pytania, czy uważam, że nadal warto być członkiem partii, odpowiadałem, że nie należy z partii występować tak dłużej, jak długo jeszcze jest choćby cień szansy na to, że stanie się ona bardziej demokratyczna. Nie wierzyłem, że będzie możliwe zastosowanie przemocy, że ktoś się tutaj zdecyduje na wprowadzenie stanu wojennego. Sądziłem, że to tylko są takie psychologiczne gry przetargowe, 15 grudnia był dla mnie takim samym szokiem jak dla większości Polaków. Ten szok był jeszcze silniejszy, niż 8 marca 1968 roku, kiedy zostałem uderzony w plecy przez milicję na dziedzińcu Uniwersytetu. Tutaj też działając z intencją, żeby zapobiec przemocy wewnętrznej i zewnętrznej, staram się budować cały czas jakieś centrum, jakieś płaszczyzny porozumienia, robiąc wszystko, co mogłem z mojej skromnej perspektywy, zostałem znów uderzony z tyłu i to znacznie mocniej. Tym razem zareagowałem już w sposób jednoznaczny. 14 grudnia 1981 najwcześniej jak mogłem, zgłosiłem się do Komitetu Uczelnianego na Uniwersytecie i od razu legitymując partyjną, robiąc to spokojnie i bez żadnych demonstracji. Przyjęta została ona, jak mi się wydawało, ze zrozumieniem, po czym dostałem - chyba następnego dnia albo za dwa dni - wezwanie na zebranie partyjne organizacji w WSNS poświęcone m.in. mojej sprawie, z czego dowiedziałem się, że moje przeniesienie partyjne ciągle

nie zostało przesłane do Uniwersytetu, że ja ciągle formalnie jestem członkiem organizacji przy WSNS, gdzie już nie pracowałem od czerwca de facto. Wówczas musiałem podjąć decyzję, czy ja mam jeszcze tam pójść cokolwiek wyjaśniać. Poszedłem do wniosku, że to nie ma sensu, w związku z czym napisałem list do tej organizacji partyjnej. Wyłożyłem w nim powody, dla których w partii byłem i powody, dla których z niej wystąpiłem. Między innymi określiłem 13 grudnia jako kontrewolucyjne i represyjne posunięcie skierowane przeciwko większości społeczeństwa polskiego, i że ja nie mogę zaakceptować takich działań, które są wyraźnym obśluziwaniem obcych interesów w Polsce. Że miałem nadzieję przez wiele lat, że będzie możliwe artykułowanie poglądów socjalistycznych w obrębie Zjednoczonej partii robotniczej. Okazało się, że jest to niemożliwe i że moja opcja na rzecz demokratycznego socjalizmu jest w tej chwili zupełnie bezprzedmiotowa, w związku z czym oddałem legitymację, o czym zawiadania zebrałem w WSNS. List ten nie został przeczytany całej organizacji partyjnej WSNS. Na posiedzeniu Komitetu Uczelnianego podjęto decyzję, żeby tego nie robić, chyba ze względu na jego treść. Przyjęto list do wiadomości i podjęto decyzję o wykluczeniu mnie z PZPR. To było 16 grudnia, 14 oddałem legitymację. Wykluczony zostałem za, jak to określono w uchwale, organizowanie socjaldemokratycznej antypartyjnej platformy wewnątrz partii. To ostatecznie zamknęło moje instytucjonalne związki z partią. List mój był półroczny publikowany przez pisma w kraju i za granicą. Uważałem bowiem, że jako człowiek postrzegany jako postać publiczna mam obowiązek wytknąć czy się, dlaczego wystąpiłem z partii dopiero po 13 grudnia, a przecież, tak niedawno jeszcze, zachęcałem do pozostania w niej. Jednym ze skutków stanu wojennego dla mojego losu zawodowego było jednostronne rozwiązanie zawartej wcześniej ze mną umowy na druk w PWN mojej pracy habilitacyjnej "Kapitalizm i reformy społeczne". Jest ona próbą całościowego spojrzenia na źródła wysokiej elastyczności, podatności na reformy struktur gospodarczych i społecznych współczesnego kapitalizmu, czyli odpowiada na pytanie, dlaczego kapitalizm okazał się być reformowalny i w jaki sposób zapewnić sobie vitalność w obliczu wyzwań, które przed nim stawały w ostatnich kilkudziesięciu latach. Praca została zrecenzowana bardzo dobrze przez dwóch recenzentów wydawniczych, podnoszone są natomiast wobec niej zarzuty natury ideologicznej, zwłaszcza przez Sylwestra Zawadzkiego i Jerzego Kowalskiego. Kowalski promował mnie jako doktora, a Zawadzki proponował mi niegdyś przedstawienie Biuru Politycznemu mojego projektu reformy.

J.R.: Czy przynależność do partii, poza elementem gry politycznej, stanowiła dla Pana rodzaj pragmatycznego rachunku, w którym możliwość kontynuowania pracy naukowej przeważała nad moralnymi wytycznymi postępowania? Czy był taki wybór?

M.L.: Mógł on wystąpić w ostatnim okresie właściwie, mniej więcej od wiosny roku 1981 po tej serii Zebrań w WSNS, która uświadomiła mi, jak silne i stanowcze jest stanowisko ówczesnego kierownictwa partyjnego, żeby uniemożliwić istnienie w partii i w nauce takim osobom, jak ja.

Wówczas zdawał sobie sprawę, że jak wielkimi potęgami mam do czynienia i że są one dostatecznie mocne, żeby mnie zniszczyć. Miałam wtedy do rozważenia, czy złożyć tę samokrytykę i wycofać się - przecież mogłem to łatwo zrobić - nie byłabym już na następnym zjeździe zgrupowań pozio- mych, nie jadąc na zjazd "Solidarności". Po prostu zemilić. Popro- sić o ten ulotki, który proponował mi prof. Lastawka. Przecież to mog- łem zrobić. Obojętne nie zrobiłem tego, ponieważ uważałem, że byłoby to nieeljalne i byłoby zdradą tych ludzi, którzy myśleli podobnie jak ja i tych spraw, które były mi bliskie.

Również po zjeździe PZPR mogłem wybrać taką opcję, uznać po prostu, że jestem pokonany, po cichu, bez hałasu wystąpić z partii, zaniechać wszelkich innych prób i na Uniwersytecie Sądzić się już tylko nauką. Najwyżej od czasu do czasu mieć wderzenia z cenzurą w sporze o prze- ciwni, nie wybrałem tego, ponieważ uważałem, że proces, na którym mi zależy, ciągle trwa, ciągle jest szansa. Decyzję o wystąpieniu podją- łem dopiero wtedy, kiedy uważałem, że rzeczywistość moja wizja rozwoju wydarzeń została zasadniczo przekreślona przez przemoc stanu wojenne- go i że muszę na siebie wziąć ryzyko kolejno, ryzyko dawania świadectwa: udziałem całej serii wywiadów, zdawałem sobie sprawę, że może być internowany jak wielu moich koleżół z struktur partyjnych, które- rych skazano, a nawet zmuszono do emigracji. Nie byłem internowany, byłem tylko przesłuchiwany i ostrzegany dwukrotnie, żebym nie udzielał wywiadów i nie pisywał artykułów w gazetach zachodnich. Nota bene mi- łąłbym innymi podziwowałem w tych artykułach taki pogląd, że nie jest prawdą, jakoby wojsko przejęło władzę, że są to nadal rządy partyjnej nowo-kadry, tylko stosowane innymi środkami, że ta militaryzacja jest bardzo powściągliwa, że tak naprawdę to jest po prostu ciągle partyjny bezwzględny wzmocniony policyjno-wojskowy tarcza ochroną. Wówczas śmiało w prasie zachodniej przedstawienie, że w Polsce mamy do czynienia z reżimem zupełnie nowego typu ustroju, że to będzie jakaś forma autoritaryzmu, ale nie będzie to już taka partok- racja tylko rządy technokratycznie zorientowanych oficerów. Wydawa- ło mi się, że takie przewidywania, opiewałem przeciwko tym poglądom.

Także wówczas byłam nie wycofałem, nie zamilkłem. Kiedy przyglądam się temu z perspektywy czasu, odnoszę wrażenie, że miałam jakąś ambicję do wygranania miejsca po stronie przegranych. Wybrałem więc w wyborach partii, która przegrywała, która brała po głowie, była wyprawa na punkt cały kraj od Sierpna poczynając. Byłem w niej i grałem w ten sposób, żeby nieco mniej zasługiwała na tę kry- tykę, którą wyprawiano. 13 grudnia znowu jak gdyby wybrałem so- cjalizm, który był zagrożony, represjonowany i przegrany - to znaczy partię "Solidarności", chociaż nigdy nie byłem jej człon- kiem, mimo że w tym momencie mogłem uważać się za jej członka, po- rębny z tymi, którzy, które wysuwała, było mi bliskich i w imię partii, która nie chciała się dźwigać. Wtedy, prawdę mówiąc, nie- wiele myślałem, że nie będzie mieć lepszy czy gorszy wpływ na moją partię, ale mi, bardziej mogłyby mieć względy polityczne. Później namawiał, aby się, to wszystko zgodę uspokajać, gdy stan wojenny dobiegał końca, zacząłem się coraz częściej zastanawiać, co to znaczy

dla mojej roli uczonego, jak ja mam dalej uprawiać to, co robię, jak mam dalej rozmawiać ze studentami, jak mam się zachowywać publicznie. Czy jest sensowne, żebym szukał jakiejś innej struktury, która byłaby mi organizacyjnie najbliższa.

J.R.: Był Pan nie tylko członkiem PZPR, ale i uczonym marksistą, zajmującym się teorią państwa z pozycji marksistowskich. Czy słusznie używam tutaj czasu przeszłego, czy też w uprawianiu nauki pozostał Pan nadal marksistą?

W.L.: W wysokim stopniu tak. To znaczy, nie jestem i nigdy nie byłem w zasadzie leninowcem, zwolennikiem doktryny Lenina, jeśli chodzi o pewne strukturalne rozwiązania, natomiast jestem nadal uważnym, krytycznym zwolennikiem pewnych metodologicznych i także pewnych humanistycznych treści myśli samego Karola Marksa. Uważam się za marksistę, chociaż nie jestem i chyba nigdy nie byłem ortodoksyjnym marksistą. Nadal natomiast uważam, że w marksizmie Marksa jest bardzo dużo elementów wartościowych poznawczo, bardzo dużo takich perspektyw, które dają szansę lepszemu oglądu rzeczywistości niż przy zastosowaniu innych podejść. Chociaż oczywiście nie jest tak, żebym uważał, że wszystkie zagadki historii i procesów społeczno-politycznych mają gotową odpowiedź w twórczości samego Marksa. Zatem to jest tak, że ja jestem zainteresowany w nawiązywaniu do Marksa i wykorzystywaniu pewnych elementów spuścizny Marksa, ale bez dobrodziejstwa inwentarza. To dobrodziejstwo jest dla mnie wątpliwe. Marks nigdy nie był powodem moich rozgoryczeń w tym sensie, nigdy nie uważałem Marksa za winowajcę powstania tych struktur ustrojowych, przeciwko którym między innymi starałem się działać najpierw w obrębie ruchu wewnętrznej reformy, a w tej chwili jak gdyby z zewnątrz. Natomiast jest oczywiście cały szereg elementów myśli Marksa, które po prostu okazały się być nieprawdziwe, których rzeczywistość nie potwierdziła - tych, rzecz jasna, nie mogę uznawać.

Natomiast na przykład ogólnie sformułowane dyrektywy dialektyki, skłonność, żeby postrzegać rzeczywistość przez pryzmat strukturalnych sprzeczności, które w niej są zawarte, zwłaszcza w głębszej warstwie rzeczywistości - uważam to za bardzo cenną dyrektywę metodologiczną. Czy z kolei taką dyrektywę, która jest też marksowska w swoim pochodzeniu, żeby starać się stosować możliwie syntetyczne obrazy, całościowe, holistyczne ujęcia - czyli, że analiza ma być podporządkowana pewnej syntetyzującej wizji. Na przykład postulat, żeby interesować się konfliktem interesów. Znacznie mniej interesować się tym, co jest sprawcą harmonii, stabilności, równowagi.

cdn

Szczególną jest dziejowa chwila, w jakiej się do Was zwracamy. Oto na naszych oczach historia zbliża się do wyjaśnienia: owego największego chyba nieporozumienia wszystkich czasów, jakim jest szaleńcza marksovska /"M"-?, red. / doktryna i powołujący się na nią, a opierający się na Rosji, sowiecki system. To, co Wam przagniemy powiedzieć - to nie tylko nasz głos. To - jak ósmielamy się sądzić - także słowa, które płyną z głębi Waszych i naszych tragicznych dziejów.

Europa Środkowa to region, którego obszar, ilość i jakość potencjału ludzkiego oraz bogactwa naturalne mają wymiar na skalę mocarstwa. Mimo to, jak wiadomo, region ten, nie stanowiąc jakiegokolwiek wspólnoty formalnej, mocarstwem nie jest. Co więcej - jest przedmiotem w rękę mocarstw. Doszło nawet do tego, że swego czasu pewnemu mocarstwu spodobało się niektóre spośród naszych narodów skazać na fizyczną śmierć. Obecnie inne mocarstwo zdecydowało, że należy nas wprawdzie pozostawić przy życiu, lecz trzeba zadać śmierć naszej suwerenności i narodowej tożsamości.

Zwykło się mówić, że istotą zła, które godzi w nas ze strony Wschodu, jest komunizm. My Polacy nie możemy poprzestać na takiej definicji. Zbyt dobrze pamiętamy szatańskie dzieło unicestwiania Polski planowane już przez Piotra I a realizowane przez Katarzynę II, która przecież - podobnie jak Piotr - komunistką nie była. /.../

Z przykrością wypowiadamy to gorzkie dla Rosjan słowo. Jednakże nie sposób bronić się skutecznie przed godzącym w nas imperializmem nie wskazując na naród, który tegoż imperializmu stał się ostoją. Co więcej: sądzimy, że największą krzywdę czynią temu narodowi ci, którzy dziś mają dlań tylko słowa dobre, którzy mu w szczególności mówią, że nie jest nikomu nic winien, gdyż cała wina spada na komunizm, podobnie jak kiedyś spadała na cara. Krzywdzą bowiem wówczas ten naród tak, jak krzywdzono by człowieka czyniącego zło, gdyby zamiast wychowywać, jedynie rozgrzeszano go mówiąc, że winien jest nie on, lecz jakaś istniejąca poza nim i działająca niezależnie od jego woli abstrakcyjna idea zła. Rosjanie byłiby wolni od winy jako naród tylko w jednym przypadku: gdyby jeszcze albo już, jako naród nie istnieli; gdyby stanowili zbiorowisko istot bez poczucia historycznej ciągłości i odpowiedzialności za swe zbiorowe zachowania - a więc usytuowane poniżej tej kategorii jaka jest naród. Tak jednak nie chcemy o nich myśleć. Mówiąc słowami gorzkie odnosimy się więc do nich jako do narodu. Czyny tak zresztą nie tylko po to, by się przed tym narodem bronić, lecz też by go ratować. Ratować go przed nim samym. /.../

Jeśli niektóre wielkie bunty, jakie w naszym regionie wybuchały na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci, nie podejmowały sprawy niepodległości, lecz przeciwnie - deklarowały swą aprobatę dla obowiązującego systemu i tzw. "sojuszy", działo się tak nie tylko z obawy przed sowiecką krwawą pacyfikacją. Obok obawy była tu także cicha nadzieja, że niepodległość możemy niejako przemycić ukradkiem np. pod pozorem czechosłowackiego "socjalizmu o ludzkim obliczu", czy aprobującej tenże socjalizm polskiej "Solidarności"; nadzieja, że jeśli będziemy powtarzać pewne magiczne słowa, będziemy mogli zbliżyć się do niepodległości niepostrzeżenie, w sposób dla przeciwnika niezauważalny.

Nie podzielamy tych nadziei. Nie wierzymy w nie nie tylko dlatego, że niepodległość to zbyt duża rzecz, by można ją było pod cokolwiek ukryć lub przemycić, lecz także, że patrzy nam na ręce naród, który zniewalając przez wieki siebie i innych, posiadał wszystkie chyba wtajemniczenia przebiegłości i podejrzliwości. Nie wierzymy zatem, byśmy z rosyjskiego więzienia mogli wydostać się przez uśpienie czujności nadzorców. Nasze deklaracje o aprobacie dla systemu mają więc tylko ten skutek, że nadzorców owych moralnie i politycznie wzmacniają.

Pozostaje tylko jedno: otwarty, zbiorowy protest narodów-więźniów; protest nie przeciw skutkom zniewolenia, lecz przeciw samemu zniewoleniu; protest, w którym powiedzielibyśmy Rosjanom właśnie to, co przed nimi najbardziej ukrywamy. Nie obowiązujemy się: czyniąc tak nie zdradzimy im żadnej naszej tajemnicy. Nie powiemy im niczego, o czym by sami dobrze nie wiedzieli. Natomiast w przeciwieństwie do strategii aprobaty, nie tylko ich nie wzmocnimy, lecz zadamy im moralny i polityczny cios. /.../

X

Historyczną szansą utworzenia obronnej wspólnoty naszego regionu był rozpad Europy dziewiętnastowiecznej w wyniku pierwszej wojny światowej. Niestety szansy tej nie wykorzystaliśmy. Zachowaliśmy się więc odwrotnie niż na to wskazywały elementarne wymogi naszego bezpieczeństwa: zamiast zwartości i solidarności w obliczu narastających nowych zagrożeń - stan dezintegracji i izolacjonizmu. Dziś już wiemy jak straszliwej ceny zażądała za to od nas historia.

Obecnie, wraz z postępującym kryzysem systemu sowieckiego zbliża się rozpad Europy pojąkańskiej. W ciemnym tunelu naszych dziejów znów zatem pojawia się światło. Pamiętamy jednak: jeśli do tego doszło, stało się tak przede wszystkim dlatego, że system ten nie sprawdził się wśród nas - narodów przez Rosjan ujarzmionych. Doceniamy stymulujący wpływ, jaki na kryzys ów wywiera Zachód, Chiny czy - w pewnym sensie - również sami Rosjanie. Jednakże to wśród nas, ujarzmionych, rozgrywają się decydujące wydarzenia wielkiego eksperymentu. Tu system ten napotkał największe niemożności, najbardziej konsekwentne opory i najczęstsze bunty. Tu skumulowały się przeciw niemu dwie najbardziej nieprzejednane siły: bunt przeciw

rosyjskiemu panowaniu i bunt przeciw obecnej formie tego panowania -
- komunizmowi. Tu zatem powstają najbardziej niebezpieczne dlań - bo
bezpośrednie - zagrożenia.

Rosyjska dominacja nie ustępuje więc sama, jak morowe powietrze,
lecz cofa się przed barierą głównie naszych postaw i zachowań. Nie
jestoby zatem bez szans. Co więcej - szanse są w naszym ręku. Pod-
kreślamy z naciskiem: wszystko ockolwiek jest dla nas korzystne,
lecz dzieje się na zewnątrz nas, są to tylko okoliczności sprzyjają-
ce naszemu buntowi. Ale buntować się musimy my sami. Tego nie uczyni
za nas nikt inny.

Niektórzy sugerują, by narody zniewolone zamiast przeciwstawiać
się dominacji Rosji bez względu na jej polityczny ustrój, przeciwsta-
wiali się wspólnie z Rosjanami jedynie komunizmowi. Będąc przeciwni-
kami komunizmu przestrzegamy jednak przed taką strategią. Zbyt wiele
przerabia na tym, że po ewentualnym - wspólnie z Rosjanami - obaleniu
komunizmu, zmieniło by jedynie napis na bramie rosyjskiego więzienia
narodów, nie uwalniając przy tym więźniów, podobnie jak to się stało
po dokonanych przez Rosjan, wspólnie z innymi narodami, obaleniu cara-
tu. Nie możemy stawiać na strategię usuwania objawów bez usuwania
przyczyn. Nie możemy stawiać na strategię, która świadomie czy nie,
liczy na partnerską lojalność czy, co gorsza, na litość Rosjan. Sta-
wimy, poza skrywnością własną, na zblizającą się niemoc Rosji, bo
w przeciwieństwie do lojalności czy litości, ta się Rosji zdarzała.
/.../

x

Wzywamy Was do łączenia wszystkich ośrodków myśli i woli, które
powstają w naszych narodach w imię tej samej sprawy; do łączenia za-
równo w naszych krajach, jak i poza ich granicami - na emigracji.
Nasz zły los skłóca się wtedy, gdy odnajdziemy swą wspólnotę, gdy
skłonczy się nasza rozbieżność. Nie ma takiej siły, która na dłuższą me-
tę potrafiłaby przeciwstawić się woli tylu narodów. Wspólnota to wię-
cej niż suma sił. To iloczyn sił.

x

/.../

POLSKI KOMITET NIEPODLEGŁOŚCIOWY

powieści z historii

Dariusz Fikus

Bohater czy przestępca?

Historia Dariusza Fikusa rodzienna jest historii V Brygady Wileńskiej AK i postaci jej dowódcy Zygmunta Szponducharca - w Brygadzie. Ironiczny tytuł tej książki: Bohater czy przestępca?

Druckujemy jeden z rozdziałów, który dotyczy wydarzeń, jakie rozegrały się w 1944 i 1945 r. na Ziemi Wileńskiej.

Redakcja dziękuje p. Fikusowi za udostępnienie rękopisu.

rozdział 6

Zaszczuci

"... dla ludu nie mogły naprawić skutków wojny dla jego uczuć".

Fawek Jasienica:
Rozważania o wojnie domowej

Rozbitkowie V Brygady tworzyli niewielkie grupy składające się z kilku, najwyżej kilkunastu osób. Część przedzierała się na zachód, zwłaszcza ci, którzy mieli w Polsce jakieś punkty zaczepienia. Inni, woleli jednak wrócić na stare smieci niż iść na niepewne.

Konstanty Fukianteo, ps. Strużyk, lekarz brygady odnalazł w okolicy swego przyjaciela i postanowili wrócić do Wilna. Zakładowali na wóz trochę maki, chleba i ruszyli w drogę. Niedaleko zajęchali, bo już pod wieczór zatrzymał ich patrol radziecki. Wylegitymowali, byli grzeczni, radzili po dobremu nie jechać po nocy, ale udać się do wsi, do sołtysa, którego obiecali uprzędnąć. Postąpili zgodnie z tym życzeniem.

Sołtys ich przyjął na nocleg, ale zaraz rankiem znowu przyszedł patrol radziecki i ponownie wypytywał: skąd, dokąd, po co? Dr Fukianiec tłumaczył im, że jest lekarzem, że ukrywał się przed Niemcami, że teraz wraca do Wilna... Nie chcieli wierzyć, podejrzewali, że mają do czynienia z partyzantami. Mówili: dobrze, jeżeli jesteś naprawdę lekarzem - tacy są nam potrzebni. - ale dla świętego spokoju jeszcze raz zawieźli do sztabu, znowu przeszukiwali i znowu niby puścili. Powiedzieli: - Jesteście wolni, ale u sołtysa znowu na nich czekał patrol. - No i co powiedzieli wam w sztabie? Pozwolili jechać? W stodole nie było ich konia, a wóz był rozebrany na części, worek z mąką rozsypany. W kacie stodoły leżała amunicja, którą jakoby Rosjanie znaleźli w wozie i domagali się aby oddano im schowaną broń. - Jaką broń, przecież rewidowaliście nas dokładnie i widzieliście, że nie mamy żadnej broni? - Gdzie nasz koń? - Pasię się na łące, zaprowadzimy nas do niego. Poszliśmy. Ale zamiast na łąkę, gdzie miał być koń zaprowadzili nas do lasu. My dwaj szliśmy z przodu, a za nami dwóch oficerów i sołtys. Wiedli nas na małą polankę, kazali stanąć, cofnęli się kilka kroków i nagle chwycili za broń. Wiedzieliśmy już co to oznacza. Prysnałem w prawo, mój towarzysz w lewo - opowiada dr Strumyk. Rozległy się strzały. Trafili mnie w lewą rękę - pokazuje nadgarstek - poczułem krew, myślałem tylko, oby nie brzuch. Gonił mnie tylko jeden. Krzyczał stój i strzelał, biegł za mną może dwa, trzy kilometry. Potem już go nie widziałem, przepłynąłem jakiś strumień, do rana przebiegłem w krzakach. Nie dziwiłem się ich zachowaniu, zbyt dobrze ich znałem. Sowietci zawsze byli podejrzliwi i chytry, podstępni i pełni niechęci. Rękę opatrzyłem i ruszyłem w drogę do znajomych, do których miałem już niedaleko. Mojemu towarzyszowi również udało się zbiec. Do Wilna doszliśmy na piechotę z koszykami pełnymi wiktuałów. Zgłosiłem się do szpitala, odbyłem kilka podróży do Polski jako lekarz z transportami repatriantów. W końcu również sam się repatriowałem, osiedlając się w Toruniu i pracując w szpitalu. Tutaj w 1945 r. odnaleźli mnie przyjaciele z dawnej brygady. Robili "skok" na bank i spółdzielnię, u mnie odpoczywali po akcji. Zaczęło się robić gorąco, musiałem iść. Pod przybranym nazwiskiem pracowałem w małym miasteczku w szpitalu jako intendent. W 1947 r. pojechałem ujawnić się do Warszawy. Wyspowiadałem się i otrzymałem rozgrzeszenie. Wróciłem do Torunia, gdzie mnie jeszcze kilka razy przeszukiwano, mając pretensje, że się do nich nie zwróciłem bezpośrednio, tylko że jeździłem do stolicy, ale mnie już nie ruszali..

Jezu ufam Tobie

Ci, którzy zdecydowali się wędrować na zachód mieli możliwości wyboru kilku tras. Ale niezależnie od drogi musieli sforsować dwie przeszkody: jedną naturalną w postaci Niemna i drugą, sztuczną, linię Curzona, czyli obsadzoną już granicę rosyjsko-polską. Maks z Aldoną i grupą przyjaciół postanowili iść w kierunku północno-zachodnim i starać się jak najszybciej przejść przez lasami, zaraz na początku drogi jeden posiadał szczegółowe mapy. Szli lasami, zaraz na początku drogi jeden

z partyzantów niechcący się postrzelili.

Opowiada Aldona: Ulokowaliśmy go w opuszczonej leśniczówce, 12 km od Przeczca, ale ciągle c nim myślałam. Zrobiłam mu opatrunek, ale był w takim stanie, że zabrać go z sobą nie mogliśmy. Spotkaliśmy młodą dziewczynę, pamiętam awet jak się nazywała: Felicja Polwój. Zdjęłam z szyi pamiątkowy medalik i dałam jej prosząc na wszystko, aby poszła do tej leśniczówki i postarała się o przetransportowanie rannego do szpitala. Po latach dowiedziałam się, że prośbę moją spełniła. Nasz oddział topniał. W końcu zostało nas dwanaście osób i zdobywczy, jeszcze na Litwinach, pies. Nie było co jeść, była potworna susza. Przez trzy dni nie mieliśmy nic w ustach. Znaleźliśmy w lesie małe bajorko, ale było prawie wyschnięte. Chłopcy wyciskali z błota nogami wodę, ja nabierałam ją do menażki i przez gazę przesączałam oddzielając czerwone robaki. Jak na zrosz w lasach nie było ani jagód ani żadnych owoców, które mogłyby służyć za pożywienie. Trzy dni krążyliśmy nad Niemnem, aby znaleźć dogone miejsce do przeprawy. Wieczorem słyszałam, jak za rzeką dzwony biją na Anioł Pański. Chłopcy zdobyli gdzieś cebulę i jedliśmy ją jak największy przysmak. Z naszej strony rzeki widzieliśmy jak po drugiej stronie sowieckie wojsko pol konie. Sielankowy obrazek, ale dla nas oznaczał on śmiertelne niebezpieczeństwo. Dookoła późno było warte. Słońce było coraz niżej i wszystko widać było wyraźnie, jak na dłoni, każdy szczegół tamtej strony rzeki. Potem przyszła noc jasna, księżycowa. Znaleźliśmy jakąś kółkę i kiedy wszyscy po drugiej stronie spali, około godziny pierwszej spróbowaliśmy się przeprowić. Byłam ostatnią w kolejce tylko z psem. Słyszałam jak ktoś krótko krzyknął. To topił się Dudek, wpadł w wir a pływać widocznie nie umiał. Powtarzałam szepem, prawie w myślach: Jezu ufam Tobie... Jezu ufam Tobie... Postanowiłam, że jeśli będę się topić wepchnę sobie medalik do gardła, aby nie krzyczeć jak Dudek, ale przepłynęłam szczęśliwie. Bardzo blisko był piękny las, a w nim schronienie, ale po drodze była jeszcze wieś i to czego się zupełnie nie spodziewaliśmy, przy brzegu bagno, w które wpadliśmy po pachy. We wsi, w stodołach wojsko sowieckie, a my w pobliżu wystawianych wart, dosłownie za ich plecami, musieliśmy przejechać w suchy las, całkowicie zmoczeni. Udało się. Leżeliśmy w lesie do południa, susząc ubrania, potem ruszyliśmy dalej, cały czas niemal na oczach ciągnącego drogą wojska. Jeszcze jeden bystry strumyk, przez który przeszliśmy dzięki zwałonej olszynie. I znowu siedzieliśmy przyucpnięci do wieczora wylewając wodę z butów. Zresztą moje wspomnienia zacierają się. Dnie zachodzą na siebie. Nie jestem w stanie rozplatać tych nakładających się wspomnień. I znowu skok przez odkryty teren, ale trafiamy niechcący na patrol. - Stój: kto idzie. - Swoi - i biegiem w las, a oni strzelają. Przywarliśmy do ziemi. Szczęście, że robiło się już ciemno. Rankiem okazało się, że jesteśmy w widłach pomiędzy drogą, na której pełno Rosjan i rzeczka. Jeszcze jeden długi skok i jesteśmy w szumiącym życie, dającym nam schronienie i pokarm. I tak po długim marszu doszliśmy do kanału Augustowskiego. Pamiętam kobietę z sierpem w dłoni ścinającą żyto, a obok niej radzieckiego żołnierza. Leżeliśmy i czekaliśmy aż ten żołnierz sobie pójdzie, a on jak na złość za swoją potrzebą ładuje się wprost na nas i na ukrytego w krzakach Akację.

- My swoi, nie bój się! - Uciekł. W jakimś opuszczonej gospodarstwie narwaliśmy świeżego grochu, a w lasku spotkaliśmy ludzi z leśniczówki, to był nasz pierwszy kontakt z siatką AK-owską. W tej leśniczówce zostawiliśmy broń i nasze zdjęcia. Wydawało nam się, że jesteśmy uratowani.

Kierunek Puszcza Różańska

Łupasza szedł z inną grupą, kierując się bardziej na południe. Byli z nim: Lalka, Zeus, Sasza, Bohun, Franko, Orszak i Oran. Na początku nie więcej niż dziesięć osób. Niemen przeszli w rejonie Mostów też w nocy i na łódce, jak oddział Maksa. Po drugiej stronie zatrzymał się sznur radzieckich ciężarówek, nabierali wodę do chłodnic, o mały włos, a by ich nakryli. Dzięki pomocy miejscowych ludzi udało się grupie szybko oddalić od rzeki i bezpiecznie dotrzeć do lasu. Potem, w oalkowicie spalonej wsi, przosiedzieli kilka dni w szkolnej piwnicy i ruszyli w kierunku Wołkowska. We wsi Widziejki, ulokowani na poddaszu, przeżyli znowu chwilę grozy. Z góry widzieli pętających się po obejściu żołnierzy. Tutaj grupa się podzieliła: Zyga, Sasza i Lech postanowili przedzierać się w kierunku Warszawy, zaś Łupasza z resztą postanowił udać się do Puszczy Różańskiej, położonej o 30-40 km na wschód od Puszczy Białowieckiej.

Dwie pierwsze próby przejścia przez obstawioną już granicę polsko-radziecką nie udały się. Z powodu epidemii dyzenterii, wycieńczenia, bliskości frontu i licznych oddziałów sowieckich zdecydowali się przesiedzieć jakiś czas w napotkanych przypadkowo bunkrach w puszczy, należących pewnie do partyzantów radzieckich, a teraz opuszczonych. Dołączyli doń Ak-owcy z oddziałów ludzkich i nowogrodzkich. Byli to ci, którym udało się uniknąć rozbrojenia i aresztowania przez NKWD, dezertery z armii radzieckiej. Polacy, których siłą wcielono do tego wojska. Dołączali do oddziału, jak np. Żwirko i Koliber w pełnym uzbrojeniu i radzieckim umundurowaniu. Grupa znowu liczyła 50 ludzi.

Będzie to nieustanny problem Łupaszkę, jak ograniczyć napływ nowych ludzi, warunki bowiem nie sprzyjały tworzeniu wielkich jednostek, szansę przeżycia miały tylko małe oddziały. Tymczasem tych, którzy uciekali do lasu przed terrorem lub wywózką do Rosji, były setki.

Z myślą o dłuższym postoju wybudowano nowe ziemianki. Ale pewnego ranka oddział został otoczony przez wojska sowieckie i uratował się tylko dzięki kucharzowi, który bardzo wcześnie wstał i nie dał się zaskoczyć. Doszło do walki, zginęło w niej około dziesięciu ludzi. Trzeba było porzucić bezpieczne schronienie w bunkrach. Po kilku zaledwie dniach oddział został powtórnie okrążony nieco na wschód od Puszczy. Wtedy zginął wachmistrz Waldek Ludwik ps. Oran, a z nim kronika brygady, książka rozkazów, mapy i cała przenośna kancelaria. Właściwie nie wiadomo czy stóg siana, w którym spał zapalił się podpalony przez ochorożego i zdesperowanego partyzanta czy od kuli wroga. Do stogu nie można już było podejść, można było tylko poczekać aż się zupełnie dopali.

Nastroje były minorowe, oddział głodny, żołnierze chorzy. Łupasza próbował podnosić na duchu, żartował. Lala opowiada, jak ich wszystkich nastraszył udając rannego. Miał wyraźne zdolności aktorskie, potrafił

świetnie naśladować innych ludzi i czynił to z upodobaniem.

Granicę Curzona Łupasza przeszedł z grupą 30-40 żołnierzy, w os-
tatnich dniach października lub na początku listopada 1944 r. na rzece
Swisłocz, na północ od szosy Białystok-Wołkowyś. Pomimo ostrożności,
mimo posiadania miejscowego przewodnika, a nawet zdjęcia butów, żeby
nie robić żadnego hałasu, nie obyło się bez strzelaniny z posterunkami
granicznymi. Z powodu wycieczenia, braku map i słabych kontaktów
z okoliczną siatką AK zakwaterowano się w paru domach szeroko rozrzu-
conej wsi Kieturki, tuż za granicą.

Przetrwac za wszelką cenę

Na czele Białostockiego Okręgu AK stał płk Władysław Liniarski ps.
Mścislaw, ożłokowie doświadczony w bojach, obyty z terenem bardzo prze-
cieżnym bo wielonarodowym, z mniejszością białoruską. Trzeba rów-
nież wziąć pod uwagę to, że okręg ten miał za sobą przeżycia okupacji
radzieckiej, przyłączenie do Białorusi w "wyberach" jesienią 1939 r.,
że przeżył deportacje 1940 i 1941 r. i uspołdzielczenie wsi. W okresie
okupacji niemieckiej obszar ten traktowany był jako teren walki z ban-
dami i stosowany tu terror był szczególnie okrutny. Liniarski znając
los swoich sąsiadów z Wilna, Nowogródka i Lublina nie kwapił się z ujaw-
nianiem całosci swoich sił, które według źródeł Komendy Głównej AK oce-
niano na 21 tys. żołnierzy, 30 oficerów, 365 podchorążych i 7320 pod-
oficerów zgrupowanych w 305 plutonach pełnych i 253 szkieletowych.
Tempo ofensywy radzieckiej oraz wstrzemięźliwa postawa szefa okręgu
sprawiła, że siatka AK-owska nie brała praktycznie udziału w akcji
"Burza" i nie została w związku z tym natychmiast zdekonspirowana, jak
to się działo na innych terenach. Być może stało się tak dlatego, że
nie było tu żadnych grup PPR-u, żadnych rad narodowych, a tylko par-
tyzantka radziecka, a więc siły AK nie były dostatecznie rozpracowane
przez wywiad sowiecki, dość, że Łupasza otrzymał pomoc od terenowych
organizacji i mógł przetrwać najtrudniejsze miesiące.

W styczniu gen. Okulicki przystąpił do rozwiązywania Armii Krajowej.
19 stycznia ogłosił swój ostatni rozkaz do żołnierzy AK. Była w nim
mowa o nowej okupacji, o wierności dla rządu RP w "ndynie, o nadziei,
że obecne zwycięstwo sowieckie nie kończy wojny, bo "wojna ta skonczyć
się może jedynie zwycięstwem słusznej sprawy, triumfem dobra nad zlem,
wolności nad niewolnictwem". Sam przechodził do głębszej konspiracji.
Ale na razie zło triumfowało.

W. Liniarski nie przyjął do wiadomości rozkazu o rozwiązywaniu AK
i nakazał swym podkomendnym dalsze prowadzenie pracy, zmieniając dla
formalności nazwę AK na Armię Krajową Obywateli /rozkaz z 15.II.1945/.
W tym momencie przewalania się frontu i obecności 2,5 mln armii mowy
nie było o aktywności wojskowej, chodziło o bierny opór, o przejście
do ciszej konspiracji i przetrwanie. Ważną więc dziedziną pracy była
propaganda i samoobrona, ale o ile w kolportażu, w wydawaniu prasy
podziemnej miano spore sukcesy, to samoobrona możliwa była dopiero na
wiosnę 1945 r., kiedy to opuściły Białystok frontowe jednostki Armii
Czerwonej, Rozkazem Komendanta Okręgu z 14.10.1944 r. Łupasza miał
opanować rejon Puszczy Białowieskiej i gromadzić tam członków AK -

- uchodźców z Wileńszczyzny i Nowogródziny. Ale oczywiście w momencie o walce nie było mowy, raczej chodziło o przeżycie.

Łupasza jeździł do Białegostoku na spotkania z W. Liniarskim kilka razy. Po pierwszym, do drugiego nie doszło, bowiem w mieście odbywał się łapanki, UB zorganizowało wiele "kotłów", w których tylko czekali na takich jak Łupasza.

Właśnie w jeden z takich kotłów wpadł Ryszard Reiff, który razem ze swoim Uderzeniowym Batalionem Kadrowym przybył do Białegostoku. Przyjechali na podrobionych dokumentach jako oddział roboczy "Pojeźdź 19". W komendzie AK spożywał na obiad smacznego królika, kiedy ich otoczono i nie pomogła nawet sprytna kryjówka w pokoiku zamaskowanym szafą. Wyciągnięto go stamtąd razem z kolegą Sienkiewiczem ps. Łopatko. Maglowano dzień i noc przez dwa tygodnie. W pierwszej chwili NKWD było przekonane, iż Łopatko to sam Łupasza, tak te pseudonimy były podobne, a kiedy okazało się, że Sienkiewicz jest za młody na Łupaszka, uwierzono również w wersję, że Reiff to nie ppor. Jacek, ale kapral z oddziałów Pała /Stanisława Debelisa, dowódcy wileńskiego, który nigdy nie miał żadnych zatargów z partyzantką radziecką. Dla R. Reiffa skończyło się to dwuletnim pobytom w obozach w Ostaszkowie i Riazaniu, a następnie udaną ucieczką i wędrowną na piechotę do kraju. Ale to już inna historia.

Łupasza stara się jak może chronić swoich ludzi. Osadza ich w różnych miejscach. Orszak, jeden z najbliższych kompanów Łupaszki, pracuje na poczcie, jeździ do Lublina, odbywa rajd na Wileńszczyznę, aby sprowadzić braci, wreszcie osiada w Hajnówce, gdzie również zjeżdża pani Swolkieniowa, teściowa Zygmunta Szendzielarza z jego córką Basią. Część chłopców z oddziału pracuje w lasach. Kto na krewnych albo znajomych lokuje się u nich. Kto nie miał, zdany był na skromną pomoc organizacji, cierpiał głód i chłód. Zbliżała się groźna zima. Jak ją przetrwać klucząc i wymykając się potrzebom?

W Kiturkach, u państwa Grochowskich, Łupasza przez jakiś czas ukrywał się w pożydowskiej jamie. Do tej jamy, w której towarzyszył mu przez jakiś czas Maks, Lala i Aldona donosiły pożywienie. Tutaj dołączył do Łupaszki por. Leon Beynar ps. Nowina, Zdzisław Badocha ps. Żelazny i Henryk Wieliczko ps. Lufa. Wymknęli się oni na początku września z obozu w Dojlidach, gdzie siłą zmuszono ich do wstąpienia w szeregi Armii Berlinga. W wiele lat później władze będą wytykać L. Beynarowi jego dezercję. Typowa komunistyczna przewrotność - najpierw siłą wciąga się ludzi do armii a potem ma pretensję, że się służyc w niej nie chciało.

11 listopada 1944 r. Aldona wróciła z Białegostoku z rozkazem od W. Liniarskiego, że należy oddział rozbroić i nie prowadzić żadnej walki. Łupasza był tą wiadomością zbulwersowany, nie bardzo właściwie, jej dowierzał. Tymczasem w połowie miesiąca doszło do fatalnej wyspy. NKWD okrążyło nad ranem Kiturki i wszystkie punkty i aresztowała całą siatkę AK. Wpadką obciążono Pajaka, który dołączył do oddziału, podając się za Ak-owca z Białostockiego. Okazał się wtyczką NKWD-owska, a jako człowiek miejscowy używany był w charakterze łącznika pomiędzy rozkwaterowanym oddziałem. Uratowali się tylko mjr Łupasza, ppor. Maks, sanitariuszki: Lala i Aldona oraz 17 żołnierzy z por. Nowiną.

W tej sytuacji Nowina zebrał wszystkich ludzi i ruszył do Puszczy Białowieskiej, zaś w Kieturykach został tylko w melinie Łupaszką z Lalą. Maks z Aldoną pojechał do rodziny do Lublina. Pojechał to raczej prze-nośnia. Aldona część drogi odbyła pieszo, na bosaka, w niektórych miej-scach Maks niósł ją na plecach. Częściowo podróżowali ckażyjnymi samo-chodami, wreszcie pociągiem.

Łupaszką przebywał w Kieturykach aż do 23 grudnia 1944 r. Zima jak na złość była ostra. W jamie było piekielnie zimno, a do gospodarza we wsi można było chodzić nie częściej niż raz na dwa dni i tylko wtedy, kiedy czapka wisiała w oknie. Znak, że droga bezpieczna.

Wspomina Zbigniew Obuchowski ps. Zbigniew: "Było ciężko. Z powodów mrozów, śniegów, braku narzędzi zdołaliśmy sklecić bardzo prowizoryczny szałas. Brak żywności - mieliśmy tylko worek żytniej mąki - bardzo sła-be umundurowanie i obuwie, wszy, szkorbut, świerzb. Minimalne ogniska, jak najmniej dymu. Żeby nie zostawić "białego tropu", por. Nowina ogra-niczył ubezpieczenie do posterunków alarmowych. Był dobrym dowódcą. Utrzymywał dyscyplinę. Pobudka, modlitwa, apel, meldowanie się. Był za-razem przyjacielem. "Swoją Małec" jak to się mówiło. O niespotykanym po-ozuciu humoru. Wiedział dobrze rosyjskim, sypał jak z rękawa kawałami w tym języku. Grzebiąc w zamarzniętej ziemi na palenisko naszej "kuch-ni" natrafiliśmy na jakieś stare gliniane garnki, stare resztki - zda-wałyby się - postoju. Pamiętam jak przypatrywał się tym szczątkom ze swoim spoczynnym uśmiechem. 20 grudnia na uroczony punkt przyszło dwóch żołnierzy w mundurach kościuszkowskich. Mieli podobno służyć przy Komendzie Miasta w Bielsku Podlaskim. Byli to żołnierze AK oddzia-łu Jastrzębca, okręgu Białystok. Nazywali się plut. Ziutek oraz kpr Pędzelek. Mieli rozkaz przeprowadzenia nas na punkty w okolicach Bielsk Podlaski - Brańsk. Dwie noce marszu. Przemarsz zajął trochę więcej cza-su. Na punkty dobruśliśmy nad ranem w Boże Narodzenie 1944 r!"

Wieś nazywała się Kiersnowo. Łupaszkę doprowadził, przysłany przez Nowinę, Wacław Niemezyk ps. Stoń. Przybyli do wsi już po Bożym Narodze-niu. Łupaszką dobrze się czuł u Anieli i Mariana Kiersnowskich i z tej meliny korzystał jeszcze później kilka razy, m.in. w 1947 r.

"To była tak zwana "Mała Polska". Dobrze zorganizowana i ciągle zakon-spirowana siatka AK. Życzliwości i opieki jakiej zaznaliśmy od tych lu-dzi - pisze po latach Zbigniew Obuchowski - po prostu nie potrafię opi-sać. W okolicach znajdowały się grupy żołnierzy AK z niemal wszystkich Brygad wileńskich, którym udało się uniknąć rozbrojenia i aresztowania przez NKWD i którym udało się dostać aż tutaj. W styczniu zaczęły się i tu aresztowania".⁴

Zastanawiałem się nieraz nad tym, jaki był stan świadomości ściga-nych, utrudzonych do ostateczności ludzi praktycznie odciętych od świa-ta, informacji, zdanych jedynie na radio, czasem łącznika, żyjących w jamach, leśnej gęstym.

Paweł Jasienica pisze wyraźnie: "Nie wierzyłam ani przez chwilę w wy-buch wojny amerykańsko-rosyjskiej. Do wiary w absurd nie jestem skłony. Sądzikem, że stanowimy atut polityczny w rękach "Polskiego Londynu", który za cenę rozwiązania nagłych oddziałów wytarguje lepsze warunki w nieuchronnym kompromisie".⁵

Meldunki

Można mu chyba wierzyć. Chcieli się jeszcze na coś przydać Polsce, o którą walczyli przez całą okupację. Trzeba ciągle pamiętać o sytuacji politycznej, nie tylko militarnej. PKWN uznany był - w tym momencie - jedynie przez ZSRR. "Znaczna część społeczeństwa w Polsce uznawała rząd emigracyjny za swoją "legalną" władzę, sądząc, że koniec końców nastąpi jego powrót do kraju, do władzy. Po drugie, pewna część ludności - nawet opowiadając się za PKWN i jego polityką - nie wierzyła w utrzymanie się władzy ludowej, traktowała ją jako przejściową i tymczasową". To opinia o nastrojach politycznych w 1945 r. partyjnego historyka. W kwietniu 1945 r. doszła do oddziałów Łupaszkii wiadomość o aresztowaniu 16 przywódców w Milanówku pod Warszawą. W lipcu dowiedzieli się, że mocarstwa zachodnie przestały uznawać polski "Londyn". Były to wiadomości tragiczne, wzmagały desperackie nastroje.

Władza komunistyczna uważała się nie tylko organizacyjnie, ale uzyskiwała atuty polityczne. Pierwszymi milicjantami w Białymstoku byli partyzanci ze Zgrupowania gen. Filipa Kapusty oraz I Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej dowodzonej przez ppłk. Petro Woszyhorę, którzy wsparli kpt Tadeusza Paztę, który przybył razem z przedstawicielami PKWN, ale już na koniec roku 1944 Milioja Obywatelska liczyła ponad 2 tys. funkcjonariuszy. Również szybko rosły szeregi pracowników resortu Bezpieczeństwa Publicznego. Ale w tym pierwszym okresie frontowym głównym pacyfikatorem podziemia były formacje specjalne Armii Czerwonej, płk kontrrazwiedki Winogradow i jego podkomendni. Aresztowania objęły tysiące ludzi, żołnierzy AK, członków NSZ lub NOW, nową administrację, setki szkółców, nauczycieli. Aresztowano dwie dyrekcje Lasów Państwowych w komplecie wraz z maszynistkami i wszystkimi gajowymi, młynarzy, piekarzy, szewców i sklepikarzy. Więźniów transportowano do więzienia w Białymstoku a potem do Ostaszkowa, Wólkowskiej, Baranowicz. Formalną podstawą działalności NKWD w Polsce było porozumienie podpisane 26 lipca 1944 r. między PKWN a rządem radzieckim przewidujące, że w strefie działań wojennych, prowadzonych na terytorium Polski przez Armię Czerwoną, w okresie operacji bojowych cała władza znajduje się w rękach naczelnego wodza wojsk radzieckich. Po przesunięciu się frontu, władzę tę przejmują Polacy. Było to sformułowanie bardzo ogólne i nieprecyzyjne, dopiero później określono, że pas przyfrontowy liczy od 60 do 100 km, ale ta zasada nie była nigdy przestrzegana i praktycznie w 1944 i 1945 r. NKWD działało na terenie całej wyzwolonej Polski.

Z województwa białostockiego nadchodziły do Londynu alarmujące wieści. "NKWD z całą pasją przeprowadza aresztowania dowódców AK. Bada w bestialski sposób: bije drutem kolczastym, kłuje szpilki, za paznokcie, łamie żebra. Wszystkich wywozi do Rosji. Na 1 lutego straty w aresztowanych... około stu oficerów, czterystu podoficerów i kilkuset żołnierzy" /Meldunek z 22.II.1945 r./ . Następny meldunek z 3 maja 1945: "W białostockim więzieniu NKWD wraz z przedstawicielami UB stosuje niesłychanie bestialskie badania aresztowanych żołnierzy AK. Tortury przewyższają okrucieństwo gestapowców. Na przykład badanemu wyciąga się

szczykami język i od spodu przypała się ogniem benzyny. Badany prze-
ważnie umiera od zakażenia. W kwietniu w powiatowych miastach zakwate-
rowano oddziały NKWD, które kontrolują okolice. Schwytanych młodych
mężczyzn mordują na miejscu".

Te meldunki docierały nie tylko do Londynu. Były one świetnie zna-
ne, również z autopsji, ukrywającym się żołnierzom. Wiedzieli, co ich
czeka, jak wpadną w ręce NKWD albo UB, czeka ich w najlepszym razie
gnicie w więzieniu albo podróż na Syberię, jeśli nie po prostu kula
w łeb. Czuli się jak zaszczerza zwierzyzna, ścigana ze wszystkich stron,
jako że i PPR-owcy nie skąpili donosów na ludzi z AK. Nie mogli więc
znaleźć ani bezpiecznego miejsca, ani spokojnej pracy. To rozpaczliwe
położenie zmuszało ich do szukania schronienia w lesie, a nieraz i do
czylnych aktów samoobrony.

Informował o tym Londyn Stefan Korboński, jako pełniący obowiązki
Delegata Rządu, w depeszy z 27. IV. 1945: "Nie możemy opanować żywioł-
owego ruchu do lasu. Przyczyna - z jednej strony masowe aresztowania
i pobór do wojska - z drugiej mistyczna wiara ludności, że przeżywany
okres jest przejściowym i że wkrótce będzie Polska prawdziwie niepod-
legła. Ten okres młodzież chce przeczekać w lesie, przynajmniej do
zimy".

Zacząły więc odradzać się oddziały. W całym okręgu było ich ponad
20 grupujących około 1300 żołnierzy.

Znowu w polu

W końcu marca 1945 r. w wyniku porozumienia Łupaszką z inspektorem
rejonowym mjr Stanisławem Żukowskim za zgodą Mieczysława ustalono, że
V Brygada występować będzie jako samodzielna jednostka KOAK, ale dział-
ająca na terenie powiatu Bielsk Podlaski i wykonująca polecenia tam-
tejszych władz Armii Krajowej Obywateli.

5 kwietnia Łupaszką wyrusza w teren. Już zresztą wcześniej, w po-
czątkach marca dochodziło do potyczek z Rosjanami, którzy pędzili by-
dło na wschód do ZSRR. Odbijane z ich rąk krowy i konie rozdawano chłom.
Orszak wspominając pierwszą koncentrację pisze, że brygada prze-
zentowała się wspaniale. Jest to stwierdzenie dalekie od prawdy. Li-
czyła Znowu ponad 250 ludzi. Ale nie była dostatecznie uzbrojona, broń
i amunicję musiała znowu zdobywać w walce. Ale to Łupaszką umiał robić.
Z dużą klatwocią rozbijał żołnierzy Wojska Polskiego, sokistów chro-
niących tory i mosty. Jak pisze Wł. Góra: "Po odejściu wojsk na front
nastąpiła konsolidacja i wzmocnienie sprawności bojowej podziemia dział-
ającego w ramach tzw. Delegatury Sił Zbrojnych, utworzonej w 1945 r."

Leon Beynar zostaje w lipcu, na krótko, mianowany adiutantem mjr Łu-
paszki. Odtworzone zostają w ramach oddziałów Łupaszką załączki brygad
wileńskich. W trzymaniu się starych nazw wyraża się brak zgody z sytu-
acją, nie tylko sentymenty i nadzieja powrotu. Jakby na przekór rzeczy-
wistości podkreśla się w ten sposób związek z kresami. To niepokodze-
nie się było niemal powszechne.

I tak załączkiem V Brygady Wileńskiej był pierwszy szwadron, dowo-
dzony przez Mariana Flucińskiego ps. Mieczysław, załączkiem III Brygady
Szczurbea był drugi szwadron Romualda Rajsa ps. Bury. Dołączył on do

Łupaszką z całym plutonem dezertersów z Samodzielnego Batalionu Ochrony Lasów Państwowych. Jądrem VI Brygady Konara był trzeci szwadron Zygmunta Błażkowskiego ps. Zygmunt, kompania Jana Mazura ps. Piast składała się z części z dezertersów z Armii Kościuszkowskiej i stanowiła czwarty szwadron.

Z tymi dezertersami był zresztą spory kłopot. Dołączyli oni do brygady w maju. Po pewnym czasie zaczęły dochodzić do sztabu Łupaszką niepokojące informacje o wyczynach Piasta w terenie. O rabunkach spokojnych gospodarzy, o używaniu przemocy. Wysłany do zbadania tych zarzutów Skol został przez Piastą zastrzelony. Sąd polowy zwołany przez Łupaszkę skazał Piastą na śmierć. Wyrok wykonał Lucjan Minkiewicz ps. Wiktor, zastępca Zygmunta. Był to drugi już wyrok śmierci w V Brygadzie. Pierwszy, jak pamiętamy, miał miejsce jeszcze na Wileńszczyźnie. Partyzantka demoralizuje, to oczywiste, im dłużej trwa, tym bardziej owa demoralizacja jest zaraźliwa. Niskie morale wojska było widoczne w tym czasie już wyraźnie. Wynikało z braku celu generalnego, żyło się z dnia na dzień, z akcji do akcji z bardzo mglistą perspektywą.

Kogo oskarża Narewka?

Taktyka działania Łupaszką była podobna do tej jaką stosował na Wileńszczyźnie. Oddziały "chodziły" samodzielnie spotykając się jedynie z okazji koncentracji. Pierwszym zadaniem było zdobycie broni i amunicji. Potrzebne były również pieniądze na opłacenie gospodarzy, u których partyzanci stacjonowali, środki na zaopatrzenie tych, którzy decydowali się ujawnić i odchodzić z Brygady. Taki cel miało np. rozbrojenie posterunku milicji w Narewce. Zastosowano tutaj stary fortel. Oddział wkroczył do wsi jako grupa żołnierzy radzieckich prowadząc związanych polskich partyzantów. Zaskoczenie udało się całkowicie, zdobyto broń nie tracąc i nie zabijając żadnego z policjantów. Ta akcja posłużyła w 1968 r. do oskarżenia Lecha Beynara o wszystkie możliwe zbrodnie, z mordowaniem białostockich chłopów na czele. Faktem jest, iż w Narewce oprócz zdobycia posterunku milicji wykonano również wyrok na trzech komunistach, członkach PPR: wójcie gminy, Janie Leszczyńskim, sekretarzu, Piotrze Kabacie i nauczycielu Aleksandrze Wólkowyckim oraz gajowym, Miłkołaju Lewszu, który do PPR nie należał. Łupaszką nie działał z własnej woli, wykonywał wyrok wydany przez miejscową komórkę AK i zatwierdzony przez Okręg. Czy sprawiedliwy to już inna sprawa. W jednym z reportaży pisanych na "społeczne zamówienie" w 1968 r. można wyczytać bardzo wiele na temat głębokich antagonizmów, jakie działały do dziś tę małą osadę. Zprawdę miał rację Paweł Jasienica, kiedy pisał, iż deklamacje na temat miłości do ludu nie mogły naprawić skutków pogardy dla jego uczuć. Oto rozmowa z ocalałym mieszkańcem wioski, działaczem partyjnym z 1945 r. Przypomina on sobie, że "już w marcu dowiedzieli się oni na zebraniu PPR, iż w pobliżu Puszczy Białowieskiej rozbił obóz oddział partyzancki. Podejrzewaliśmy już wtedy - mówi A. Musiewicz - że i z naszej wsi kilku należało i miało z tym oddziałem kontakt. Jak się później okazało to oni właśnie sporządzili dla Łupaszką listę ludzi do zlikwidowania".

Z reportażu dowiadujemy się także, że syn zabitego gajowego E. Lewszko "stracił wiarę w życie, w ludzi, w jakikolwiek sens starań o inne życie"... Dziwne to wyznanie w ustach człowieka, którego ojcu wystawiono pomnik, o którego losy władza powinna chyba zadbać? Czyżby ostracyzma tej wsi przeniosła się także na potomków? Reporter opowiedział tego nie wyjaśnia. Motuje tylko gorzką wypowiedź swego rozmówcy, który twierdzi, iż "oni", czyli przeciwnicy jego ojca "nigdy nie dadzą za wygraną. Od najmłodszych lat stykałem się z pogroźkami ze strony takich jak Jasienica, tutejszych, znanych mi współmieszkańców wsi... Nie jest tajemnicą, że w październiku 1956 r. na wieś o zmianach grupa miejscowych dawnych współpracowników "Kowiny" podniosła głowę. Sądziła, że nadzedł właśnie ich dzień. Tymczasem pomylili się, ale nie zrezygnowali".
"Za którymś razem może im się udać" - konkluduje reporter.

W 1968 r. na masową 131 mieszkańców Narawki domagało się wykluczenia Jasienicy z ZLP! Czy byli to wszyscy mieszkańcy, czy ci co wydali wyroki śmierci to byli kufacy, właściciele majątków, dlaczego do dzisiaj żywią nienawiść, o co właściwie mają pretensję do rodziny Lewszko? Tego możemy się jedynie domyślać. Reporter jechał z innym celem, Narawka miała oskarżać a nie wyjaśniać.¹²

Łupaszka nie prowadził w tym okresie walki zaczepnej. Jego celem było przetrwanie oddziału z bronią w rękę. Było to w praktyce założenie utopijne, bowiem sytuacja zmuszała go bardzo często do przechodzenia z samoobrony do walki zaczepnej. "Jeżeli chciałem zmienić teren - zwiernął się Stanisławowi Krupie w więzieniu - to nie mogłem czekać aż mnie zaatakują, musiałem uderzać pierwszy i znieścacka".¹³

Atak na posterunek w Narawce, rozbrojenie posterunku kolejowego w Siemiatyczach, sokistów w Kleszczelach koło Czeremchy były organizowane przede wszystkim z myślą o zdobyciu broni i amunicji. Starcia z oddziałami Wojska Polskiego z reguły były inicjowane przez wojsko, Łupaszka unikał atakowania wojska. Wojsko również z niechęcią uczestniczyło w takich akcjach. Dopiero stworzenie jednostek KMW zwiększyło operatywność działań na tym polu. "Od lutego 1945 r. - pisze Ignacy Blum - w działalności wojsk wewnętrznych daje się zauważyć wyraźną zmianę form walki. Od "rozbrajania" terenu wojska te przechodzą stopniowo do akcji zaczepnych, do nawiązywania bezpośredniej styczności z oddziałami reakcji".¹⁴

Bez względu na to niemiast postępował Łupaszka z żołnierzami armii radzieckiej. 12 maja zniszczył na szosie między Siemiatyczami a Bielskiem Podlaskim radziecki samochód wojskowy. Zginęło wtedy 3 radzieckich żołnierzy. Takich akcji było kilkanaście. Na szosie Bielsk Podlaski-Brześć zastrelono 10 żołnierzy, w akcji na stację kolejową Strabla zginęło 5 żołnierzy radzieckich. Rosjanie także nie patrzyli na siebie z partyzantami, których złapali. Siali również terror wśród ludności, wywozili do ZSRR.

Bez względu na to postępował także z pracownikami bezpieczeństwa. Jeśli takich złapał, rozstrzeliwał na miejscu. Tapił donosicieli, szpiegów, również aktywnych działaczy PPR. Opierał się o istniejącą siatkę AK i korzystał z jej rozpoznania sytuacji. Dokonywał również ataków na urzędy gminne, sklepy, banki i kasy kolejowe, z których rekwirował

pieniądze. Jasienica skwitował to zdaniem następującym: "Kaźda wojna domowa ma to do siebie, że z biegiem czasu staje się coraz bardziej okrutna. Historia nie zna wyjątku od tej reguły".¹⁵ Na Białostoczczyźnie toczyła się taka wojna. Okrucieństwa zdarzały się po obu stronach. Łupaszka nie mordował niewinnych chłopów, nie palił wsi i nie grabił, zbyt dobrze wiedział, iż jego szansa przeżycia zależy w dużej mierze od tego, jak ułoży sobie stosunki z miejscową ludnością, za to strzelał do aktywnych komunistów i mordował ich. Oczywiście zdarzały się wypadki okrucieństwa i pochopne wyroki. Fakty te obciążają obie strony, a także partnera sowieckiego.

To co napisano w 1968 r. o działalności Łupaszki w kontekście jego współpracy z Nowiną, Lechem Baysnarem, było podyktowane nie próbą rzeczowego spojrzenia na historię, ale prowokacją polityczną nie mającą nic wspólnego z badaniem przeszłości. Pisano o Jasienicy jako o bandycie, mordercy niewinnych chłopów. Nie jest również prawdą, iż Jasienica dowodził w akcji na Narewkę.

"W początkach lata 1945 r. kpt Nowina /awansował do stopnia kapitana/ na własną prośbę został zwolniony z funkcji adiutanta i został nim nota bene bardzo niepopularny por. Stefan z AK Białystok. Kpt Nowina był od tej pory bez funkcji i "ohodzik" jak to się mówiło przy oddziałach. Przeważnie z kompanią szturmową VI Brygady oraz z 4-tym szwadronem V Brygady. Podlegał rozkazom dowódcy danego oddziału. Latem 1945 r. kompania szturmowa wraz z oddziałem Młota posunęła się na zachód aż pod Warszawę. Zajęli nawet Jabłonnę. Kpt Nowina był wtedy przy tych oddziałach. W drodze powrotnej, gdzieś w okolicach Siedlec weszli w zasadzkę. Kpt Nowina został ranny w udo i zostawiony w punkcie sanitarnym w tej okolicy".¹⁶ Działo się to ściśle w nocy z 8 na 9 sierpnia 1945 r. Tydzień wcześniej 2 sierpnia 1945 r. ogłoszono amnestię. Podano także do wiadomości deklarację byłych dowódców AK na Lubelszczyźnie i Białostoczczyźnie: Konrada Bartoszewicza, Wira i Mieczysława Liniarskiego, Męciszawa; wzywali oni z więzień, aby wyszli z podziemia. Zrazu niewielu tylko z niej skorzystało. Nie ufano władzy. Postępowanie Rosjan i Komitetu Lubelskiego nie budziło zaufania, prześladowanie władz krajowych i AK, oskarżenie Polski Podziemnej o współpracę z Niemcami i podstępne aresztowanie 16 przedstawicieli Polski Podziemnej uniemożliwiło współpracę, której gotowość deklarowały lutowe uchwały Rady Jedności, gdyż Rosja "toleruje tylko tych, którzy ugięli się przed nią" i działają pod jej dyktando. Delegatura Sił Zbrojnych 6 sierpnia postanowiła rozwiązać organizację wojskową, ale była ostrożna w formułowaniu zaleceń o ujawnianiu się.

W tym momencie kończy się również kariera wojskowa Lecha Baysnara ps. Nowina. Narodził się natomiast Paweł Jasienica. Legenda rodzinna mówi, iż pseudonim literacki pisarz wziął od nazwy miejscowości, w której kurował się po postrzale. Ukrywał się we wsi Jasienica na plebanii, a także w kościele, pod ołtarzem św. Pawła i stąd jego literackie imię. Noga goiła się z trudem. Szarpśna rana po pocisku dum-dum gnika. Wokoło roznosił się nieprzyjemny fetor. Żeby go stłumić, młody ministrant gęszczono używał kadziadła. Był nim ukrywający się jeszcze z czasów wojny Żyd.

Ukropiec w kilka miesięcy później odnalazł swoich krewnych. Jeden z nich okazał się rabinem Nowego Jorku, który w dowód wdzięczności odnowił kociół w Jasienicy. Jakże splecione są polskie życiorysy.

Tymczasem Łupasza także powoli zwiija swoją działalność w okręgu Białostockim. Część ludzi ujawnia się i odcodzi z brygady. Każdy otrzymuje odprawę, lewe dokumenty, cywilne ubranie. Ostatnia koncentracja ma miejsce 7 września 1945 r. w Stoczku Białostockim. Łupasza już w lecie otrzymał rozkaz rozwiązania brygady i chodziło tylko o to, aby uchronić jak najwięcej ludzi od więzienia. Sam zaś z Łalką udaje się do Gdańska. Z Wiktorem będzie utrzymywał kontakt do końca, będzie również z nim razem sądzony w 1950 r.

PRZYPISY:

1. Były żołnierz AK /Zbigniew Obuchowski/: Wspomnienia V Brygada Wileńska AK mjr Łupaszk. 21 nr "Zeszytów Historycznych" z 1972 r. s.136-144.
2. Zob. Krystyna Kersten: Historia polityczna Polski, Wyd. "Stop", s.17.
3. Były żołnierz AK j.w.
4. j.w.
5. Paweł Jasienica: Fragment życiorysu /18.4.1968/. Zob. Andrzej Tar-nawa: Proces trwa, "Przedświt" s.35.
6. Władysław Góra: Ogólna sytuacja i zmiany w układzie sił klasowych i politycznych w Polsce w latach 1944-1947, "KiW", 1967, s.10.
7. "Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945", t.V, s.394.
8. Tadeusz Żenczykowski: Dramatyczny rok 1945, "Polonia", 1982, s.74.
9. "Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945", t.V, s.384.
10. Wacław Beynar, ps.Orszak: Pamiętnik. Rękopis. W posiadaniu autora.
11. Władysław Góra: 1944 w walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce, "KiW", 1967, s.19.
12. Wiesław Kodym: Narewka oskarża, "Sztandar Młodych", 21.III.1968 r., nr 69.
13. S.K.: X Pawilon, Łupaszo, "Kurier Polski" nr 11/13.XII.1981 r.
14. Ignacy Blum: Z dziejów Wojska Polskiego w latach 1944-1948, MON, s.35.
15. Paweł Jasienica: Fragment życiorysu /18.4.1968/ j.w.
16. Były żołnierz AK j.w.
17. Tadeusz Żenczykowski: j.w.

KAB

Ks. Jan Kanty Ostrowski

Niżej w tym roku 40 rocznica śmierci księdza Jana Ostrowskiego, ostatniego przed 1939 r. prezesa Stronnictwa Narodowego w Białymstoku - postaci wartej chyba przypomnienia.

Jan Kanty Ostrowski urodził się 2 października 1892 r. w Kutnie jako syn Edwarda i Michaliny z Czarneckich. Tamże w 1909 r. ukończył szkołę handlową. Po ukończeniu Seminarium Diecezjalnego w Płocku otrzymał święcenia kapłańskie 31 maja 1918 r.

Jako wikariusz pracował w różnych parafiach diecezji płockiej. W 1925 roku przeniesiono go do diecezji łomżyńskiej, co związane było ze zmianami granic diecezji i powstaniem metropolii wileńskiej.

Od tego momentu aż do września 1939 roku ks. Ostrowski był związany z Białostocką. Będąc wikariuszem w Suwałkach aktywnie zaangażował się w działalność społeczną i polityczną.

Nie stanowił wyjątku, bowiem księża ówczesni nie stronili od takiej działalności. Powszechna była ich postawa aktywna i organizująca. Duchowni byli często niekwestionowanymi przywódcami, szczególnie w rejonach wiejskich i małomiasteczkowych. Tworzyli tam infrastrukturę społeczno-polityczną: kółka rolnicze, biblioteki, chóry, spółdzielnie, stowarzyszenia i związki zawodowe.

Na wieś białostocką, gdzie rzadko trafiali agitatorzy różnych ugrupowań politycznych, często docierał proboszcz, a jeszcze częściej wikary. Bywał tu także często ksiądz Ostrowski.

Po zamachu majowym był on prezesem suwalskiego oddziału Chrześcijańskiej Demokracji i prezesem Stowarzyszenia Robotników Katolickich. Szefował Spółdzielni Handlowo-Rolniczej "Praca", był także asystentem kierownym przy suwalskim oddziale Chrześcijańskich Związków Zawodowych.

Aktywną działalność prowadził w l. 1927-28, organizując w ramach Chadocji księży. Przygotowywał akcję wyborczą samorządową i parlamentarną.

Na polu gospodarczym poniósł dotkliwą porażkę. Niedobory finansowe przesądziły o likwidacji Spółdzielni "Praca", a próba przejścia podobnej suwalskiej Spółdzielni "Przyszłość" nie powiodła się wobec przeciwdziałania lokalnych sanatorów. Ks. Ostrowski stał się wtedy celem napaści prasowych ze strony prostanacyjnego "Dziennika Suwalskiego". Kierowano także skargi i petycje w tej sprawie do biskupa łomżyńskiego, sugerujące przeniesienie ks. Ostrowskiego z Suwałk.

Jednocześnie w końcu 1927 r. ks. Jan Ostrowski popadł w konflikt z ks. posem Z. Kuczyńskim, czołowym działaczem Chrześcijańskiej Demokracji. Trudno określić meritum sporu. Prawdopodobnie dotyczył on metod stosowanych przy organizacji akcji wyborczej do samorządu powiatowego, które ks. poseł Kuczyński uważał za naganne.

W związku z tym ordynariusz diecezji łomżyńskiej ks. bp S. Żukowski

zakazał na jakiś czas ks. Ostrowskiemu wszelkiej działalności politycznej a nawet korespondencji w tych sprawach. Po jego rezygnacji z funkcji prezesa oddziałem suwalskim zawładnęli działacze chadecy popierający sanację.

W tym czasie zaczął miewać kłopoty ze zdrowiem /choroba żołądka/, które towarzyszyły mu do końca życia /wielokrotnie leczył się w sanatorium w Bruskiemkach/.

Na początku 1928 r. został jako wikariusz przeniesiony do Ostrowi Mazowieckiej. W tym samym roku otrzymał probostwo w Lemonie, gdzie przebywał do 1931 r. Tam również jego postawa i działalność budziły liczne kontrowersje. Szybko wszedł w konflikt z miejscowym nauczycielstwem i był szykanowany przez lokalną administrację oraz zwalczany przez Związek Strzelecki.

W okresie "wyborów brzeskich" należał do grona aktywniejszych księży propagujących kandydatów i program obozu narodowego.

Z tytułu działalności wyborczej w powiecie ostrołęckim prowadził zbiórkę pieniężną na fundusz wyborczy Endecji.

Wielokrotnie zwracał się do bp. Łukomskiego z prośbą o przydział nowej parafii położonej w pobliżu większego miasta, motywując to względami zdrowotnymi. Po wpłynięciu w 1931 r. do Kurii biskupiej w Łomży kilku skarg biskup, mimo niewyjaśnionej sytuacji, przeniósł go do Złotorii nad Narwią. W odrębnym liście bpa Łukomskiego z 14.04.1931 r. adresowanym do ks. Ostrowskiego czytamy: "Wiech ks. Proboszcz pamięta o tym, że dotąd niemal na wszystkich stanowiskach dawał władzy duchownej wiele powodów do niezadowolenia. Jeślibym i teraz miał się na ks. Proboszczu zawieść nie miałbym już stanowiska dla niego odpowiedniego". Trudno określić czy te przestrogi poskutkowały, czy też ks. Ostrowski przeniesiony w pobliże Białegostoku znalazł tu odpowiedniejsze środowisko.

W początkach lat 30-tych nastąpiła jego ewolucja ideowa, stopniowo odchodził od Chrześcijańskiej Demokracji związując się ideowo i organizacyjnie ze Stronnictwem Narodowym. Obowiązki kapłańskie spełniał chyba odpowiednio, bowiem pozostawał w Złotorii do II wojny światowej, kierując parafialną Akcją Katolicką.

Jednocześnie był aktywnym działaczem narodowym w Białostockiem. W latach 1935-1939 pełnił funkcję prezesa Zarządu Okręgowego Stronnictwa Narodowego w Białymstoku. Za jego kadencji Stronnictwo na Białostocczyźnie przeżyło ogromny skok rozwojowy i w niespełna rok podwoiło swoją liczebność osiągając w 1937 roku 12 tys. członków.

W II poł. lat 30-tych SN było najsilniejszą i najruchliwszą partią polityczną województwa, dystansując nawet rządowy Obóz Zjednoczenia Narodowego, który skupiał ok. 8 tys. członków.

W pracy Stronnictwa Narodowego zdolności organizacyjne ks. Ostrowskiego znalazły wreszcie właściwe zastosowanie. Z inicjatywy swego prezesa organizowało Stronnictwo w latach 1936-1938 masowe obojdy "cudu nad Wisłą" w Białymstoku. Ks. Ostrowski aktywnie uczestniczył w zebraniach kół i instancji Stronnictwa. Dużo przemawiał publicznie na wiecach i masówkach, a czynił to z talentem i pasją.

W Złotorii prowadził wakacyjne obozy i kursy dla młodzieży narodowej z terenu województwa białostockiego.

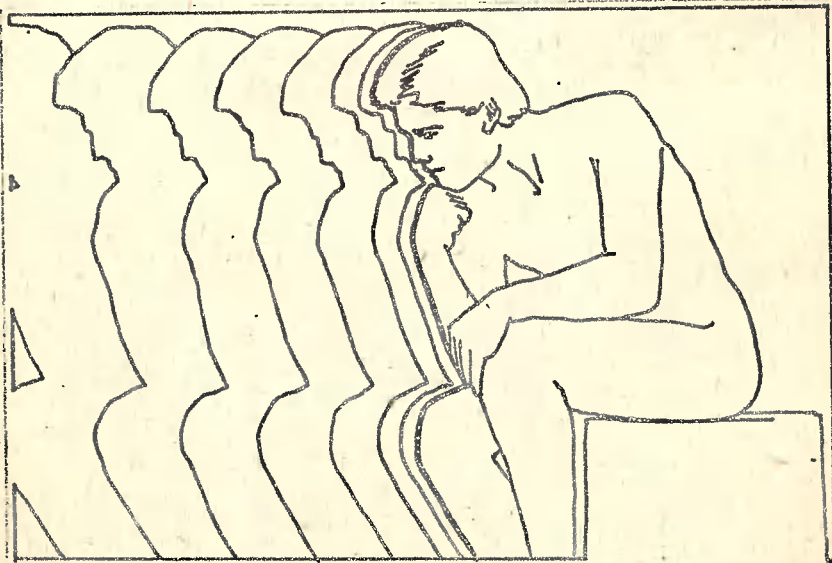
Wiosną 1939 roku stał na czele endeckiej akcji wyborczej do Rady Miejskiej Białegostoku.

W czasie wojny, w latach 1939-1944 przebywał w Warszawie, pracując w duszpasterstwie przy kościele Zbawiciela. Po upadku Powstania Warszawskiego opuścił stolicę i przebywał w okolicach Łodzi.

Po wojnie w 1947 roku /na własną prośbę popartą przez bp ordynariusza Łódzkiego M. Klepacza/ został przeniesiony z diecezji łomżyńskiej do Łódzkiej. W Łodzi pełnił odpowiedzialną funkcję dyrektora Diecezjalnego Związku Caritas. Zmarł 24 lipca 1948 r. w Łodzi po krótkiej lecz ciężkiej chorobie /prawdopodobnie rak żołądka/ w wieku 56 lat.

Był indywidualnością o trudnym, konfliktowym, a według ks. bp Łukomskiego "...niepojętym charakterze, który i Jemu i Jego pracy niejednokrotnie przyniósł szkodę".

Mimo to potrafił zyskiwać sympatię i autorytet. Ceniono go za aktywną pracę społecznikowską /w tym za opieką nad chorymi/, bezkompromisowość głoszonych poglądów i za to, że mimo własnego zaangażowania politycznego, w pracy duszpasterskiej zawsze widział człowieka a nie jego przekonania polityczne.



OPRAWKI

Adam Dolistowski

Wstęp do historii świata (3)

5.

Oni byli o wiele lepsi, niż ktokolwiek mógł to sobie wyobrazić. Oczu-
dziłem się posiadając niezbitą pewność, że utraciłem świadomość na se-
kundę. Dopiero kiedy zauważyłem, że całe moje ciało jest dokładnie oban-
dażowane, a lewa ręka i noga dodatkowo unieruchomione, uświadomiłem so-
bie: jednak upłynęło trochę czasu.

Odczuwałem niepokój. Obudziłem się co prawda w białym pokoju, a nie
w okratowanym lochu, lecz sposób opatrzenia mych ran był przedziwny.
Pozbawiono mnie możliwości decydowania o ruchach. Bandaże w mniejszym
zakresie chroniły moje zranione ciało, w decydującym je krępowały.

To nie był zwyczajny pokój w szpitalu. Zresztą, jakże mógłbym zna-
leźć się w szpitalu wciągnięty do takiej bramy? Ten pokój wybrali mi
na pewno specjalnie. Posiadał on jakieś nieuchwytne cechy pomieszcze-
nia, w którym niemożliwa była jakkolwiek adaptacja psychiczna.

Tak, oni byli bardzo dobrzy, dlatego tak niebezpieczni. Dbając o mo-
je ciało taranowali duszę. W tej sytuacji nie mogłem zasnąć, nie mogłem
choćby na moment utracić kontroli nad rzeczywistością, w której się
znalazłem. Nigdy nie zaświtała w mojej głowie myśl, że ci ludzie mogą
być wobec mnie przyjaźni. Przeciwnie zabiliem ich dziewczynę, a oni wy-
kradli mnie ruszki. Po coś musiałem być im potrzebny. Może sami chcie-
li wymierzyć sprawiedliwość?

Opiekująca się mną kobieta sprawdzała opatrunki, uzupełniała płyn
w kroplówce. Odnosiłem wrażenie, że pojawiała się w regularnych odste-
kach czasu. Nikt inny, nie przychodził. Kobieta z białą opaską na usz-
tach nigdy nie pokazywała twarzy. Było w niej tak wiele dystansu wobec
tej sytuacji, że bardzo długo obawiałem się poruszyć w czasie jej
obecności. Śledziłem tylko jej pełne zawodowej prostoty ruchy, pozna-
łem jej postać, lecz bałem się naruszyć ciszę choćby najdelikatniej-
szym świątkiem.

Pewnego razu odważyłem się.

- Chciałbym wiedzieć... - rozpocząłem, lecz nie było mi dane skoń-
czyć.

Nie czekała na dalsze słowa. Zareagowała rzekłoby automatycznie.
Usłyszawszy pierwszy dźwięk wyszła.

Nie byłem oczywiście zmartwiony. Ona musiała wrócić. Ja natomiast poczułem się pewniej, w końcu wykazałem się odwagą.

Polubiłem ją. To była bardzo młoda dziewczyna. Posiadała płynność ruchów niezmięzonego życia człowieka. Pragnąłem poznać jej twarz, jej głos, wydrzeć jakiegokolwiek tajemnice.

Przygotowywałem się do kolejnych kroków. Moja prawa ręka była zupełnie sprawna. Dziwny opatrunek dawał wolność tylko przedramieniu. Kiedy pozostawałem sam, gwałtownymi ruchami rozciągałem bandaż.

- Chcę pić - zażądałem któregoś dnia.

Oczywiście nie zareagowała. Ale było pewne, że w trakcie swej rutynowej wizyty spełni moje życzenie. Czekałem.

Wreszcie zbliżyła się i z łyżeczki wlała mi do ust jakiś płyn. Wtedy prawą ręką chwyciłem rękaw jej białego fartucha. Zaskoczona dłuższą chwilę, stała nieruchomo. Szarpnęła po raz pierwszy. Nie puściłem. Jeszcze dwukrotnie próbowała uwolnić się. Bez powodzenia.

Zaskoczona spojrzała na mnie. Dopiero wtedy po raz pierwszy uchwyciłem jej spojrzenie. Nie była przerażona ani przestraszona. Patrzyłem przez chwilę w jej zdziwione oczy. Szybko podjęła decyzję i łokciem drugiej ręki przycisnęła moje gardło. Mogła mnie udusić, ale nie ryzykowałem, wręcz skorzystałem z sytuacji i sięgnąłem dłonią wyżej - chciałem zerwać zasłonę z jej twarzy. Odchylając się musiała zmniejszyć nacisk na moje gardło. Chyba właśnie w tamtej chwili straciła wszystkie dobre pomysły. Najpierw ostrzegawczo zasyczała, potem straciwszy kontrolę nad sytuacją zaczęła krzyczeć i chaotycznie mijać się. Bez trudu chwyciłem ją za głowę i palcami wczepiłem się w jej włosy. Wolno przyciągnąłem jej twarz ku mojej. Tak, rzeczywiście, dopiero wtedy dostrzegłem przerażenie w jej oczach.

Nie dostąpiłem zaszczytu zbyt długiego przyglądania się jej oczom. Rzuciono szmatę na moją twarz, a jakaś wielka dłoń ścisnęła mi szczękę. Kilka dłoni prostowało mi palce wczepione we włosy dziewczyny. Potem gdzieś przesunięto moje łóżko i zagipsowano prawą dłoń.

Po tych wszystkich nagłych działaniach wreszcie zapadła cisza. Dopiero wtedy odważyłem się poruszyć. Jakoś udało mi się zrzucić szmatę z twarzy. Znajdowałem się chyba w tym samym pomieszczeniu, w każdym razie były to identyczne jak poprzednie szaro-białe ściany. Nie widziałem drzwi ani żadnych sprzętów. Za moją głową ustawiono przyszanianą jej mi pole widzenia parawan.

Czy ona jeszcze przyjdzie?

Przyglądała mi się zbyt uważnie. Jej ruchy były pełne ostrożności, bardziej gwałtowne i pozbawione zmysłowości, którą tak w niej polubiłem.

Kiedy wyszła, po raz pierwszy od przebudzenia poczułem senność. Zmęczenie wynikało pewnie ze zmęczenia, w końcu zrealizowałem jakiś plan i miałem prawo poczuć się zmęczony.

Ale przecież nie mogłem zasnąć. Potrzebne mi było następne zamierzenie. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę z tego, co mnie trapiło cały czas. Przeżywając w izolacji straciłem poczucie rzeczywistości. Potrzebna była jakaś stałość, która by mi przywróciła wiarę w to, że istnieje ja.

Ową stałością mógł być tylko czas.

Zacząłem liczyć.

Siostra przychodziła do mnie prawie że dokładnie co cztery godziny. Przypominałem sobie i policzyłem wszystkie jej poprzednie wizyty. Wyszło mi, że nie spałem trzy dni.

To nie był nadzwyczajny wynik. Mogłem oczywiście pomylić się, ale pół dnia więcej czy mniej nie było rzeczą specjalnie ważną. Obliczenia nie usatysfakcjonowały mnie. Trzy dni bez snu nie stanowiło w naszym plutonie specjalnie dobrego wyniku.

Świat liczb i działań arytmetycznych całkowicie wypełnił moją świadomość. Nowe sposoby wykonywania działań w pamięci, zapamiętywania wyników sprawiły mi coraz większą satysfakcję. Czwartego dnia, gdy już swobodnie operowałem moimi obliczeniami, zauważyłem większą troskliwość siostry. gdzieś znikła poprzednia czujność i napięcie. W pewnym sensie znowu zostaliśmy przyjaciółmi.

Piątego dnia opowiedziałem jej o moim systemie obliczania czasu. Chyba udało mi się udowodnić, że poczucie czasu jest niczopiękne z faktem istnienia. W tajemnicy wyjawilem, że panując nad czasem stałem się dla nich zupełnie bezużytecznym więźniem.

Szóstego dnia zwątpiłem. Niepotrzebnie zdradziłem siostrze swoją tajemnicę. Oni znowu wiedzą o mnie wszystko. Na pewno posiadali sposoby, żeby odebrać mi czas.

Wizyty siostry zaczynały mi przeszkadzać. Coraz wyraźniej przypominała mi kogoś, kogo już poznałem. Ta natrętna myśl poczynała mi zakłócać obliczenia. Przestałem liczyć. Po co miałem to robić, skoro i tak mogą mnie pozbawić - na przykład liczb.

Siedmego dnia jeszcze nie mogłem w to uwierzyć, lecz ósmego pojęłem oczywistość tego faktu. Przecież tak troskliwie opiekująca się mną siostra była ową dziewczyną, którą rzekomo zabiłem. Dalej nie musiałem już specjalnie się trudzić. Uświadomienie tego faktu całkowicie zabiło moje pragnienie snu.

To było coś więcej niż strach. Kiedy wchodziła nagły skurek automatycznie zamykał mi oczy.

6.

Za parawanem toczyło się życie. Ktoś chodził, wdychał, przestawał krzesła. Siostra nadal mną się opiekowała, ale to nie ona na stałe zajęła miejsce za moją głową.

Dałem przestałem liczyć, ale byłem pewny, że drzwi otwierały się zbyt często. Sądząc z dźwięków, za parawanem musiał znajdować się mężczyzna.

- Ryszard Ryszardowicz, zjecie?

Te pierwsze słowa słyszane po raz pierwszy od wielu, wielu dni natychmiast wyrwały mnie z odrętwienia. To nie był w dodatku samotny mężczyzna.

- Salami - zachęcał ten sam głos. - Podobno tutejszy specjał.

Usłyszałem odgłos nalewanego płynu.

- Coś metry wan wyszedł - stwierdził ktoś drugi.

- Ale wkasny - odpowiedział pierwszy. - Nie mogę przywyknąć do państwowych wyrobów.

- Oj, Lew Zdzisławowicz, robiliście lepszy.

- Bywało - potwierdził ten pierwszy.

Za parawanem, jak to mogłem sobie wyobrazić, siedzieli dwaj faceci, jedli salami i popijali bimber. Rozmawiali po polsku, co po tak długiej ciszy sprawiło mi jakąś przyjemność. Kim byli?

Czy mogłem za parawanem spodziewać się obecności przyjaciół?

- Lew Zdzisławowicz, ukroćcie jeszcze kawałek.

- Mówiłem. Będzie smakowało.

Na pewno wychylili następną szklanę.

Usłyszałem trzask zapalanej zapałki, potem poczułem zapach dymu z papierosa.

- Mielicie powiedzieć, Lew Zdzisławowicz, kto to jest?

- Wiacie, Ryszard Ryszardowicz, my mamy kłopot, on ma kłopot. Zasnąć człowiek nie może. Przyszedł do nas i mówi: towarzysze, zasnąć nie mogę, pomóżcie. I co powiecie, Ryszard Ryszardowicz? Trzeba pomóc.

- Po jakimu mówił? - zapytał Ryszard Ryszardowicz.

- Jakże, po polsku.

- Widzicie, Lew Zdzisławowicz, jak mówi po polsku, dlaczego do mnie nie przyszliście?

- Cóż, ja też, z przeproszeniem, znam polski - obruszył się Lew Zdzisławowicz.

Charakterystyczne odgłosy świadczyły, że wypili następną szklanę.

- Widzicie, Ryszard Ryszardowicz, jest problem. On twierdzi, że pielęgniarka odżyła.

- No tak, no tak - zadumał się Ryszard Ryszardowicz. - Jak jest, Lew Zdzisławowicz, na powody tak myśleć?

- Właśnie, Ryszard Ryszardowicz, okazało się, że nie ma.

- Już nie pamiętacie, Lew Zdzisławowicz, to typowe dla religijnych. Oni wierzą w zmartwychwstanie. Pamiętacie, Zofia Adamowna...

- Mielibyście litość, Ryszard Ryszardowicz.

- Rzuciła się na karabin maszynowy. Taka piękna kobieta. Była tak wspaniale rozbudzona erotycznie.

- To co innego, Ryszard Ryszardowicz, ona była polską szlachcianką.

- Wy ruscy rewolucjoniści, Lew Zdzisławowicz, macie jakiś kompleks. Jak już dostąpiście zaszczytu jebania, to od razu musi być polska szlachcianka. Zresztą, dla was każdy, kto raz dziennie myje ręce, to już polski szlachcio.

- Ryszard Ryszardowicz, odstąpiliście od postępu? Niby jak ma być postępowo? Oni nasze córki, czy my ich córki?

- Postępowo, Lew Zdzisławowicz, są kobiety z ludu.

- Zawiedliście mnie, Ryszard Ryszardowicz, nie uznajecie walki klas. Taki jest porządek na świecie, że jest walka.

- Wy mi zarzucacie, Lew Zdzisławowicz?

Usłyszałem szamotaninę, chyba upadło krzesło, butelka pewnie rozprysła się na podłogę. Potem nastąpiła chwila ciszy.

- Jest porządek na świecie, Ryszard Ryszardowicz, że człowiek musi spać. Jakże nie śpiący może żyć? Wszyscy zasną, a on nie śpi. Co on

wtedy będzie robił? Skąd śpiący będzie wiedział, co robi nie śpiący?

- W porządku, Lew Zdzisławowicz, dajcie nam go. Będzie spał.

- To wy wieście, Ryszard Ryszardowicz, dlaczego nie śpi?

- Dowiemy się.

- Chcecie powiedzieć, Ryszard Ryszardowicz, że my nie potrafimy się dowiedzieć?

- Co z tego, że się dowiecie? Jeszcze trzeba, żeby zasnął.

- My, Ryszard Ryszardowicz, mamy ożyny, które się kwalifikują na sen.

Nie byłem w stanie dłużej milczeć. Wyczułem zagrożenie, a jakaś wewnętrzna energia popychała mnie do niekontrolowanego słowotoku.

- Nie jesteście tacy cwani, jak się wam wydaje - szyderczo krzychałem. - To wy właśnie jesteście tajną reakcją, przeciw której walczymy. Zagnieździłicie się w Czechosłowacji. Wygarniemy was wszystkich. Nam przyjaciół, przyjdą po mnie. Chcecie mnie załatwić, tą gadką. Nigdy. Niedoczekanie. Ja sam was załatwię. Moja dywizja po mnie przyjdzie.

Za parawanem nikt się nie odezwał. Mogłem spokojnie mówić dalej.

- Nawet miałem dla was współczucie. Że niby po co, my tutaj. Chcecie mnie skołować, Ryszardowicz, Zdzisławowicz. Niedoczekanie. I pamiętajcie - nie zaśnąć.

Ktoś poruszył się za parawanem, usłyszałem ciężkie kroki. Żwalista postać pojawiła się na tle ściany.

Nie uwierzyłem sobie. Długo przyglądałem się nachylonemu ku mojej twarzy mężczyźnie. Nie mogłem uwierzyć, że to pułkownik Kwantuński. A on uśmiechał się przyjaźnie.

- Masz rację - szepnął. - Załatwimy ich.

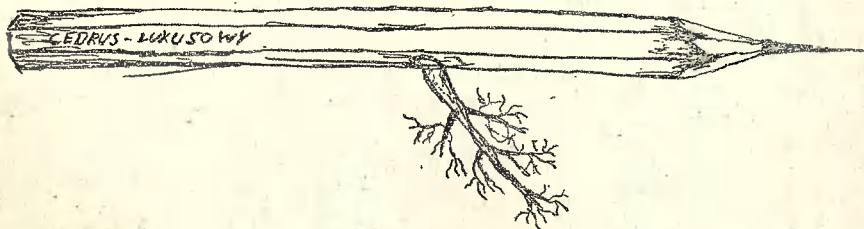
Potem spojrział w stronę parawanu.

- Lew Zdzisławowicz - powiedział głośnie. - Dajcie no trochę tego, co zostało w szklaneczce.

cdn

Adam Delistowski

Druk bez wiedzy i zgody autora.



Adam Le Bor

Rosyjskie zapiski

New Statesman
14 08 1987

Kontakty z Leną, naszą pilotką z Intouristu, układały się bardzo dobrze. Ta energiczna, rezolutna moskwianka, dobiegająca trzydziestki, nie zawracała sobie głowy przybieraniem w stosunku do ludzi z Zachodu przy "tu w Związku Radzieckim wszystko jest cudowne".

Ci, którzy stawiali głupie pytania, otrzymywali stosowną odpowiedź. W pierwszym dniu naszego pobytu w moskiewskim Hotelu Młodzieży ktoś z naszej grupy spytał, czy jest winda na dwudzieste piętro. Lena odzwała się karząc: A na co ci ona potrzebna?

Lena należy do nowej, nielicznej jeszcze rasy radzieckich kobiet, do których radziecki mężczyzna /jak i większość jej przyjaciółek/ musi dopiero doszłusować. Przyznała ona, że naprawdę nie wie, jak pocieszać swe przyjaciółki, gdy skarżą jej się, że są złyimi żonami, "bo nie starcza nam czasu, aby rano wyprasować mężom koszule".

Chodzi tu o stary problem podaży i popytu, z którym nie poradziła sobie nawet planowa gospodarka socjalistyczna. W wielkiej wojnie narodowej zginęło 20 milionów ludzi, głównie mężczyzn, i do dzisiaj jest ich za mało. "Co trzecia kobieta nadal tęskni za tym, by mieć męża i dziecko" - a jak długie w Związku Radzieckim jest dość kobiet, gotowych spełnić każdą męską zachciankę, Lena nie ma większej szansy spotkać Nowego Radzieckiego Mężczyznę.

Tacy towarzysze jak Iwan, jeden z kolegów Leny, nie przydają się na wiele. Iwan nie zadaje sobie nawet tyle trudu, by porozmawiać ze swą żoną na temat zapobiegania ciąży, gdyż "to ją kępuje". Gdy zaś radziecka kobieta spotka już swojego mężczyznę, i tak nie ma gwarancji małżeńskiego szczęścia. W miastach co drugie małżeństwo kończy się rozwodem; na terenach wiejskich co trzeci mąż i żona rozstają się ze sobą. Najczęściej stosowaną formą antykoncepcji jest nadal przerywanie ciąży, chociaż pojawienie się AIDS sprawiło, że łatwiej dostać przerwy. Na kobietę przypada średnio po sześć zabiegów przerywania ciąży.

Radziecka konstytucja gwarantuje kobietom równość płci, jednakże - podobnie jak w Wielkiej Brytanii - nie sposób skodyfikować poglądów.

Iwan np. tłumaczy: "Kobiety rzadko zajmują wysokie stanowiska w partii, gdyż ta praca byłaby dla nich zbyt ciężka".

X

Obóz młodzieżowy Noorus w pobliżu Narvy na wybrzeżu estońskiego był bezalkoholowy, podobnie jak prawie cały Związek Radziecki. W barze w dyskotecce można było dostać gęstą, słodką kawę i młdą pepsi, produkowaną na licencji. Pod koniec drugiego dnia zaczęliśmy racjonować naszą, kupioną bez cła wódkę. Pod koniec trzeciego sprzeczailiśmy się o ostatnie pomarańcze.

Sceneria była jednak całkiem malownicza. Sosnowy las dochodził aż do przestronnej, piaszczystej plaży, której spokój mąciło tylko paru pływaków i regularnie patrolująca radziecka kanonierka. Ten krajobraz kompensował jako tako codzienną dietę, na którą składały się klopsiki z chrząstek imitujących mięso, kwaśna śmietana i twardy, czorny chleb.

Oczywiście, nie wszyscy w Noorus mieli takie same menu. Przy każdym posiłku obserwowaliśmy przebiegające koło nas kelnerki, które nosiły talerze ze złotym szlaczkiem i butelki wody mineralnej do jadalni aparatczyków. Tamci mieli też bardzo wygodne krzesła.

Spędziliśmy w Noorus tydzień, aby "działać wśród młodzieży na rzecz przyjaźni między narodami, współpracy i pokoju". W teorii. W praktyce uczestniczyliśmy w spektaklu zainscenizowanym tak dobrze, że niech się schowa Peter Mandelson. Młodzi Rosjanie utrzymywali, że są tu na wakacjach. Każdy z nich został jednak wyselekcjonowany w swym miejscu pracy lub na uczelni w odpowiedzi na prośbę Sputnika /państwowej organizacji turystyki młodzieżowej/, który zgłosił zapotrzebowanie na dobrze przygotowanych towarzyszy.

Wśród innych gości znajdowali się także rozczarowani Niemcy wschodni, którzy myśleli, że jadą tu na wakacje, oraz naiwni Amerykanie, wierzący, że płacąc za pobyt na obozie pracy wnoszą swój wkład w dzieło odprężenia. Może tak było - podejrzewaliśmy jednak, że Rosjanie śmieją się przez całą drogę do banku, przyjmującego waluty wymiennalne.

Dyskusje toczyły się wokół takich tematów, jak "Dokonania Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej", "Dlaczego człowiek zdobywa przestrzeń kosmiczną?" oraz Afganistan. Ustępstwa były na porządku dziennym, tzn. Amerykanie ustępowali, a Rosjanie skłaniali ich do ustępstw.

Zabawne były niekiedy zderzenia kulturowe między liberalnymi Kalifornijczykami a atatecznymi Rosjanami. "Andriej i ja - my się kohamy" - wykrzyknął Bud i - ożywiony duchem międzynarodowej przyjaźni - klepnął Andrieja w kolano. "Ale nie w znaczeniu seksualnym" - dodał śpiesznie, na szczęście dla Andrieja, jako że homoseksualizm jest w Związku Radzieckim przestępstwem kryminalnym.

W rozmowach prywatnych wielu młodych Rosjan wypowiedziało się otwarcie. Przyczyną, dla której publicznie trzymali się ściśle linii partii, był po części - jak podejrzewaliśmy - pewien wszechobylski facet o aparycji niedźwiedzia. Twierdził on, że jego zadaniem jest "witać zagra-

nicznych turystów", większość czasu spędzał jednak czuwając po ojcowsku nad swymi młodymi rodakami. Nawet do tego stopnia, że siedł obok nich, gdy rozmawiali z ludźmi z Zachodu. My, cyniczni kapitaliści, przekonaaliśmy się jednak do niego, gdy tuż przed odejściem wręczył każdemu z nas po cukierku toffi o smaku bananowym.

X

Teraz do Tallina, jednego z najpiękniejszych miast Związku Radzieckiego. Intourist ma jednak inne koncepcje. Pierwszą rzeczą, którą nam pokazano, były zakłady przemysłowe na peryferiach stolicy Estonii - to tak, jakby kogoś, kto chce zwiedzić Londyn, zaprowadzić na Wyspę Psów. Te peryferie - to płaska przemysłowa tundra, pośród której tkwią przysadziste wieżowce. Następnym naszym przystankiem okazało się kolektywizowane gospodarstwo rolne, w którym hodowano kwiaty. Pracownicy entuzjastycznie zachwalali nam zalety estońskich białych nocy, gdy słońce w ogóle nie zachodzi. Komunistyczne goździki są na ogół takie same, jak kapitalistyczne.

Następnie do obozu pionierskiego Łastoczka niedaleko Narvy - państwo daje rodzicom spore zasiłki, by płacili na pionierów, i gwarantuje miejsce każdemu zgłaszającemu się dziecku. Przed naszym wyjazdem kierowniczką obozu żąda, by najwyższy i najsilniejszy gość z Zachodu /był to Fin/ wystąpił naprzód, razem z najwyższym z młodych pionierów. Obaż pozwalają zawiązać sobie oczy, zaciskają palce na poduszkach, które włożono im do rąk, i wstępują w środek koła rozbawionych dzieci. Dziko wymachują rękami, kompletnie zdezorientowani, udaje im się zadać sobie nawzajem tylko parę powierzchownych, niegroźnych cioców. Ogłoszono, że spotkanie zakończyło się remisem - był to dziwnie trafnie dobrany spektakl.

X

Co można zrobić w Moskwie w ciepły, sobotni wieczór? Niewiele, gdyby chciał skorzystać z pomocy kierowcy naszej taksówki. Nie ma on ochoty wieść tego Patrice Lumumby na tylnym siedzeniu swojej taksówki. Mówi nam swym moskiewskim żargonem, że miałby chęć powiesić w swym samochodzie tabliczkę z napisem "Tylko dla białych". Nie lubi Afrykanów, którzy przyjeżdżają studiować do Moskwy, być może - jak sam przyznaje - dlatego, że mówią oni po rosyjsku lepiej od niego. Szczęśliwie dojechaliśmy na miejsce, zanim zdążył rozwinąć temat, jakie jest jego hobby /pobić Afrykanina/. Cakkiem nieźła lekcja za jedne trzy ruble.

Plac Czerwony był zamknięty - widocznie spodziewano się lada moment lądowania następnego samolotu pasażerskiego z Niemiec Zachodnich. Setki Rosjan i turystów przechadzają się po jego obrzeżach tam i z powrotem bez celu, w nastroju oczekiwania. Bar czy nawet kiosk miałyby tu wspomóc obroty, ale na horyzoncie nie widać nawet Pepsi made in USSR. Pytamy jakiegós Rosjanina, gdzie najlepiej pójść - ten rekomenduje nam hotel turystyczny, w którym przyjmują waluty wymiennalne. Poza tym wszystko jest pozamykane. Jest godzina 21.30.

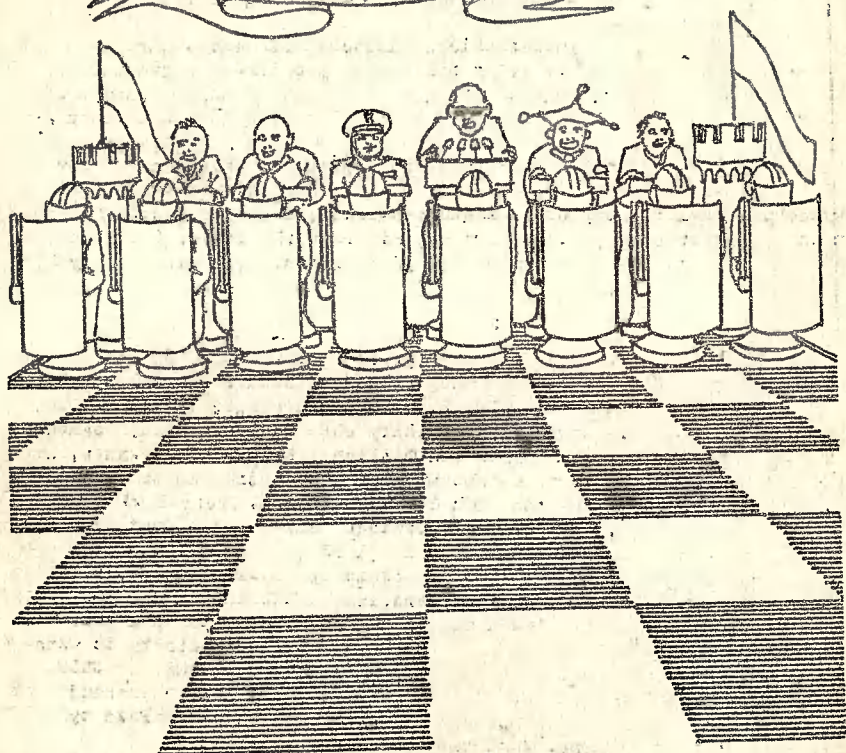
Arbat, to moskiewska dzielnica artystów. Chciał zostać on pięknie odnowiony, pracujący tutaj malarze narzekają, że zatracił cały swój

pierwotny charakter. Jest bardzo ciemno, gdyż w latarniach ulicznych brak żarówek. Na Arbacie pełno ludzi, przechadzających się tam i z powrotem. Jak się zdaje, jest to jedyna rzecz, jaką można tu robić.

Idąc ulicą, mijamy grupkę siedzącą wokół jakiegoś gitarzysty. W powrotnej drodze widzimy miliojanta, który prowadzi go do czekającego radiowozu. Panowała mglista atmosfera oczekiwania, tak jakby coś miało się zdarzyć, ale co mianowicie, wiedzą zapewne tylko panowie za rogiem ulicy - na Kremlu. Na ulicach, podobnie jak w Komitecie Centralnym, próbuje się przesuwać bariery, ograniczające głośność.

Z cyklu:

SZACHY POLSKIE



Jerzy Surdykowski

Kształty oporu

KRYTYKA
25/87

O oporze napisano mnóstwo najśluszniejszych słów. Cóż innego podtrzymuje naszego ducha i żywi naszą nadzieję w tych marnych latach, jak opór? Słowo, które po 13 grudnia pamiętnego roku zrobiło tak samo nieoczekiwaną i tak samo niebotyczną karierę, jak "honor". I tak samo uwikłało się w mity, dla których najżyźniejszą glebą jest Czas po Klęsce. Opór, czyli strajki, demonstracje, konspiracja, odmowa - tak myślimy. Ale z upływem lat się ubywa, opór słabnie. Ale przecież trwa i daje świadectwo, póki jeszcze żyje i walczy ostatni obrońca Oblężonego Miasteczka.

Kształt pierwszy: rzeka bez brzegów

Ważny parę przykładów najprostszych, wręcz trywialnych.

Baba z placu, która po prostu handluje, prostodusznie nie przyjmując do wiadomości "wyższego stanu historii".

Robotnik, który powiada "czy się leży, czy się stoi, partia płaci, bo się boi" i inaczej dba o robotę w ustawowym czasie, inaczej po godzinach.

Chłop, który i tak pracuje na swoim, nawet jeśli go skolektywizują, nawet wtedy, kiedy kradnie.

Kierownik czegoś tam, który zamiast podporządkować się Wspólnemu Dobru, ohomikuje dla swego wydziału albo fabryki.

Urzędnik, który podejmuje decyzję kierując się zdrowym rozsądkiem, nie zaś klasową dialektyką.

Naukowiec albo pisarz, który docieka swej własnej prawdy i usiłuje ją przemycić gdzieś pod szlabanem cenzury.

Innowator, który nie może się wybić, więc rozwija swą inwencję w prywatnej hodowli świni, kombinacjach na boku albo po prostu emigruje.

Działacz odklepujący nakazane frazesy; po zejściu z trybuny robi oko, że to i tak lipa.

Ręka na gałce radia zmieniająca falę z nakazanej na zakazaną.

Młodzieżowy idol patrzący na Zachód, jakby zapomniał, że żyje jeszcze na Wschodzie, choć teksty jego przebojów już dawno nie mają wspólnego z urzędowym optymizmem Stepowego Biznesjumu.

Trupy w kościołach wszelkich wyznań, jakby nie pamiętały, że religia to najwyżej "opium dla ludu".

A potem już trzeba rozglądać się za "zachętami ekonomicznymi", ogłaszać "decentralizację" albo "przebudowę", żebrać w bankach Przeżytego Ustroju o drobne datki na podtrzymanie Ustroju Przedującego, przywracać do księgarń dawno nie wydawanych pisarzy, nadawać w dniu 11 listopada przez komunistyczne radio legionowe pieśni i wychwalać postać Władysława Sikorskiego - jakby zupełnie zapomniano, że legionści w półtora roku później powstrzymali nad Wisłą sięgającą już po Zachód żelazną rękę Tuchaczewskiego i Lenina, a realista Sikorski też powiedział swoje stanowcze n o n p o s s u m u s wobec katyńskiej zbrodni.

A na koniec ten nieszczęsny albo może i wielki Marek Kotański, w obskurnym polskim szalecie wzywający przed kamerami telewizji do narodowych porządków, to jeśli od tego się nie zacznie, to jakże umyć ten obeszpany kraj?

Co ja - za bzdury tu wypisuje? Przecież to nie żaden opór, tylko przejściowe trudności okresu przejściowego; nicantagonistyczna sprzeczność między stosunkami społecznymi a nie nadążającą świadomością mas do twórczego przezwyciężenia w procesie budowy Przedującego Ustroju - jak by gładko wyrecytował każdy szanujący się marksista.

A jeśli opór, to jakie nogiem pominąć Solidarność, KOR, Lecha, górników z "Łujka", księdza Fopiełuszkę, podziemne drukarnie i wszystkich naszych świętych bohaterów? Przecież takie, jak tu opisano, wicrzganie poddanego politycznej obróbce społeczeństwa trwa w każdym demokracji, a nawet w moskiewskiej centrali, jak Stepowe Bizancjum długie i szerokie, daty i nazwiska tylko za każdym razem inne.

He i właśnie...

Nie ma ustroju, nie ma takiego systemu politycznego, takiej organizacji państwa, które by nie miały do czynienia z oporem społecznej materii, gdzie by nie było ludzi i grup nie mieszczących się w granicach nakreślonych przez prawo i utarte zwyczaje, szukających ujęcia dla swej energii i miejsca dla swej rogatej osobowości poza obrębem systemu. Nawet najbardziej dobrodusznymi liberałowie nie rezygnują z policji i w zaprojektowanych przez siebie tworach państwowych i wiedzy, są bądzie ona miała pełne ręce /a może nawet i pałki/ roboty. Ale "zwyczajne" ustroje - nawet despotcje - nie usiłują przebudować człowieka, choć stawiają nieraz nazbyt srogię ograniczenia jego naturze. Dlatego lepiej lub gorzej potrafią wchłaniać społeczną energię, kierować ją na wewnętrzny tematowy tomy i pożytkować dla rozwoju; te, które czynią to lepiej i szerzej, a nade wszystko potrafią się modyfikować, trwają wieki, choć przybierają formy zależne od epoki i świadomości. Przykładem Anglia i jej dzieje udanych reform, które monarchistyczną fasadą wypełniły stopniowo całkiem demokratyczną i republikańską treścią. Systemy mniej elastyczne stają wobec zbyt wielkiej masy tej energii nie znajdującej ujęcia w ustrojowych ramach; wtedy przychodzi czas wstrząsów i rewolucji. Ale najgorzej tam, gdzie system polityczny podejmuje się najszlachotniej nawet Zamierzonego, ale niewykonalnego, jak sztuczna hodowla aniołów, zadania "stworzenia nowego człowieka". Wtedy w imię

utopii trzeba wykorzeniać, niszczyć, zabijać, a przede wszystkim kłamać, kłamać, kłamać... Nowy człowiek nie rodzi się bowiem w akcie rewolucyjnego zrywu ani tym bardziej dekretu państwa; przemiany człowieka biegają przez dzieje w tempie równie niespiesznym, jak następstwo epok geologicznych i tylko Bóg wie, w jakim kierunku. Gdy rozpędzony w rewolucyjnym zrywie dokonał już "skoku z królestwa konieczności do królestwa wolności", gdy zburzył już zniechęconą Bastylię, wraca do swoich prozaicznych zajęć. Nieszczęsne utopie, które są aż tak szlachetne, że nie chcą zaakceptować tej ludzkiej nieszlachetności, nieszczęśliwi utopiści u władzy. Zaczyna się opór.

Irańska utopia religijna pewnie miała przed sobą przyszłość świetlaną niby raj Mahoreta, gdyby jej obywatele pozostawali ożywieni tą samą ślepą wiarą, co idący z imieniem Chomeiniego na pewną śmierć frontowi, nieletni pasdarani. Ale ta dobroczynna dla każdej Utopii u Władzy wojna przeciw kiedys się skończy i nastanie złowrótny pokój.

Komunizm też funkcjonowałby nie najgorzej, korzystając ze słusznie wskazanych przez jego klasyków przewag planowej gospodarki, gdyby każdy zatrudniony porzucił niesłuszne nawyki *h o m o c e c o n o m i c u s* i wcielił się w kierowanego wyłącznie poczuciem wspólnoty członka kolektywu.

Kłopoty Pinocheta, który przeciw nie jest totalitarystą, tylko autorytarnym despotą, też przeciw biorą się stąd, że nie wszyscy Chilijczycy chcą wcielić w życie ideały Państwa, Rodziny, Ładu i Porządku, by nie wspomnieć o powszechnej miłości do Wodza. Tu aż prosi się zgryźliwe przypomnienie łatwości, z jaką dzisiejsze ekipy kierownicze psującego się komunizmu przejmują polityczne stowinictwo tradycyjnej prawicy.

Najbliżej tej powszechnej zgody na Nowego Człowieka i Nowy Ład był Hitler na fali łatwych sukcesów w przewyżnianiu gospodarczej zapaści przedwojennych Niemiec i zawrotu głowy od pierwszych wojennych zwycięstw. Historia obeszła się z nim łagodnie: reżim zawałił się szybciej niż mógł doświadczyć tego najstraszniejszego przekleństwa totalitaryzmu, którym jest tępa nieelastyczność pozwalająca co najwyżej zsuwać się, lecz nie reformować, tłamsząca cieleśkiem bezwładnego aparatu wszelką innowacyjność, aż - niby bomba z opóźnionym zapłonem - rozsaździ ten system od wewnątrz.

Doświadcza tego komunizm z racji wieku, aż nadto dojrzałego. Stąd właśnie dzisiejsze miotanie się Gorbaczowa między pokusą Piotra Wielkiego a przerażeniem zagrożonego aparatożyka. Stąd wszystkie pożałowania godne pseudoreformy, z jedną tylko śmiało wychodzącą poza kolejiny realnego socjalizmu - chińska.

Ustrój usiłuje zrazu kłamać opór "człowieka wczorajszego", przekształcić go przez przyspieszoną edukację albo unicestwić, jak Pol Pot w Kambodży. Zachowuje się, jak szalony krawiec usiłujący przykroić klienta do nie pasującego mu garnituru. Potem impet słabnie, horyzont oczekiwanego pojawienia się Nowego Człowieka okazuje się coraz odleglejszy, aż nareszcie pozostaje tylko bierna zgoda na przyrodzone właściwości społecznej materii, nigdzie nie zapisany i kruchy *c o n s e n s u s*, w myśl którego na niewygasłym jeszcze wulkanie rozrasta się zawsze to

samo, wiecznie zielone i niezmożone przez najstraszniejszy nawet ogień, Zielsko tego samego, co zawsze, życia; wszyscy zainteresowani udają jednak, że nic się nie stało i wciąż obowiązuje ta sama pusta już liturgia Nowego Ładu. Nie wyleczony jeszcze z szaleństwa krawiec zaczyna przykrawać garnitur na ludzką bardziej miarę, choć złowrogie nożyce obcinają wciąż rękę, a nawet głowy. Tak zaczyna się zsuwanie i odwrót, choć nikt nie mówi jeszcze o ustępstwach i porozumieniu, a wszyscy są po prostu zmęczeni.

Oto realny portret realnego socjalizmu.

Ten proces dostosowywania się systemu komunistycznego do tej rozlewnej rzeki społecznego oporu można byłoby opisać i zdefiniować podobnie, jak Kornai opisał i zdefiniował wektor tarcia w swej "Ekonomii niedoboru" /wydanej w PRL pod tytułem "Niedobór w gospodarce"/; Kornaiowskie "tarcie" dotyczy wprawdzie tylko sfery gospodarczej, nieuświadomionego, "naturalnego" oporu stawianego tam przez ludzi i instytucje, ale rzecz można byłoby uogólnić i jeszcze dokładniej niż tu opisać na całej przestrzeni społecznej materii. Albo też zdać się na intuicję Miłosza, który w "Traktacie moralnym" pisał: "lawina bieg od tego zmienia po jakich toczy się kamieniach", mając jednak na myśli raczej świadome postawy niż niemożliwy do pogodzenia z jakąkolwiek utopią ślepy instynkt życia. Nie ma to nic wspólnego z "reformowalnością" i wciąż odżywającym sporem o nią, raczej z bardzo powolną kapitulacją przed siłami natury, a może i historii.

Najwyższym stadium komunizmu był oczywiście stalinizm, który - jak słusznie zauważył Zinowiew - "to nie same łagry i represje, ale dyktatura kolektywu nad ludźmi". Potem już mamy ustępstwa i rozsypek.

Polski los i polski opór to przypadek szczególny. Pierwsza Rzeczpospolita była - obok Anglii - pierwszym w Europie wielkim eksperymentem demokratycznym na skalę ówczesnego mocarstwa. Eksperyment, w przeciwieństwie do Anglii - nie udał się, Rzeczpospolita upadła - ale trwał kilka wieków, z czego na prawie dwa wieki przyszłość państwu niebylała potęgą i rozkwit. Dość, że odcisnął nie dający się uniwocznici ślad na kulturze i świadomości, która z kultury narodu szlacheckiego stała się kulturą narodu polskiego. Nie ma co wartościować: dobrze to czy źle, dość, że innego dziedzictwa i innej świadomości mieć nie możemy. Stąd jednak polskie nieszczeście, polska wielkość i polskie grzechy, stąd Chrystus i Harodów, stąd paw i papuga, stąd wreszcie cierpka żółć Gombrowicza i pomniejszych szyderców, bo można mieć wreszcie tego wszystkiego po dziurki w nosie! Ale stąd też polski Klient wyjątkowo - jeszcze bardziej niż cała przyrusowska klientela środkowoeuropejska - nie psuje do skróconego mu w Jaście garnituru, stąd też tak szczególna zawziętość i szczególne zmęczenie "szalonego krawca", jak i niebываły gdzie indziej parokszym drgawk poddanego takiej obróbce społeczeństwa. Znów ów wektor tarcia - mimo wysiłków i nakładów - tak małe się nam w tym ustroju udaje, stąd też Polska jest przynajmniej w jednym aspekcie najbardziej zaawansowanym krajem bloku - w aspekcie rozkładu komunizmu.

Tak płynie wielka i bezbrzeżna rzeka polskiego oporu, w której ma miejsce i niepodległościowy konspirator ze swoją bibułą, i proboszcz ze swymi wiernymi, i sfrustrowany menedżer nieefektywnej firmy państwowej, i prywatny biznesmer, i komitetowy aparatczyk coraz bardziej przerażony stanem swego rozchwiejającego się stołka.

Czy potrafiły ją nazwać i opisać, czy tylko będziemy nadal nazywali oporem tylko jeden z nurtów, prawda że czasem rozlewający się w wiosenną powódź, ale nie zawsze najważniejszy i na pewno nie najtrwalej złobiący rzeczne koryto w nieprzyjaznym namule?

Jak dotąd najlepiej rozumie to Kościół i stąd patrzy on najdalej. Ale cóż, jest wieczny, może sobie na takie spojrzenie pozwolić...

Kształt drugi: niesiłowe siły

Polityki nie robi się odwróceniem od systemu, pogardliwym gestem, odmową aktorów czy dziennikarzy, śpiewaniem "Boże coś Polskę" z podniesionymi palcami, ZEWiD-em internowanych. Politykę robi się siłą. Tak, ponieważ nawet siła niezbrzojnego oporu musi być świadomie użyta, by była bardziej skuteczna niż rzeczna erozja. To, o czym była mowa, nie reprezentuje polityki jakiegokolwiek i z jakiegokolwiek woli politycznej nie wynika; najwyżej ze zbrzydzenia, niechęci, odmiennego systemu wartości. Bezbrzeżna rzeka polskiego, radzieckiego czy litewskiego albo jakiegokolwiek innego oporu po prostu płynie, po prostu jest, tak jak zjawiska natury. Trudno doszukiwać się politycznej woli w huraganie, trzęsieniu ziemi, morskich przyptywach, ale trzeba uwzględnić je w jakichkolwiek rzetelnych rachunkach. Sierpniowy strajk 1980 roku był właśnie świadczym użyciem siły we właściwie dobranym momencie. Mógłby sobie Wałęsa do woli przemawiać z nieczynnej koparki, gdyby nie zastrajkowali robotnicy stoczni, a z nimi cała Polska, jak długa i szeroka. Nie wyniosłyby go na rękach z tej stoczni zwycięski tłum, lecz wyprowadziłoby paru uboli. Pani Walentynowicz zanosząaby mu najwyższą paczkę do kryminału, a Borusewicz napisałby bolesciwy artykuł w powielaczowym "Robotniku Wybrzeża".

I tyle.

Od tego niespodziewanego zwycięstwa, a zwłaszcza po równie niespodziewanej grudniowej klęsce wałsowe "niesiłowe siły", a potem wołanie o bierny opór zrobiły niebывałą karierę i także zamieszanie w umysłach. Zupełnie jakby nad Wisłą narodziło się tysiące Ghandich, tymczasem obawiam się, że nie ma tu Ghandiego ani jednego, łącznie z wąsatym noblistą.

Kto ze zwolenników biernego oporu zadał sobie trud poczytania o Ghandim /a jest to i owo w bibliotekach/ albo przynajmniej przeanalizowania wyświetlanego i u nas, bardzo wymownego biograficznego filmu? Bierny opór zwolenników Ghandiego nie polegał bynajmniej tylko na trwaniu przy wartościach i odprowadzaniu rocznicowych nabożeństw, ale na organizowaniu wielkich, masowych akcji obywatelskiego nieposłuszeństwa, na używaniu siły niezbrojnej przeciw sile orężnej. Jeśli Brytyjczycy wydali zakaz zgromadzeń, Ghandi mobilizował dziesiątki i setki tysięcy swoich zwolenników, którzy spokojnie, lecz stanowczo lokowali

się na publicznym placu, a gdy przybyła policja, dawali się równie spokojnie zapakować do pudła. Po stu czy dwustu aresztowanych kończyła się pojemność miejscowego kryminatu, a gdy akcja obejmowała wiele miast i miasteczek jednocześnie, władze wpadały w panikę. Gdy Ghandi ogłosił bojkot obłożonej brytyjską akcyzą soli, słuchała go na tyle znacząca część ludności, że uderzało to boleśnie w brytyjską kaskę. Gdy ci ludzie szli na strajk okupacyjny, nie był ich w stanie powstrzymać kordon uzbrojonych w pałki funkcjonariuszy; padał pierwszy szereg, szedł następny i też padał pod ciosami, a potem kolejne, kolejne szeregi, aż policjantom opadały ręce... Pięknie i przekonująco pokazuje tę scenę wspomniany film, który nie cieszył się zresztą u nas /a był to właśnie okres wezwań do biernego oporu/ szczególną frekwencją.

Więc teraz trzeba postawić to najprostsze i nieszczęśliwe pytanie: ilu dzisiejszych Polaków jest gotowych iść, tak jak ci Hindusi, na wezwanie przywódcy?

Dobrze, wszystko jasne. Jest, jak jest i jest taki czas, jaki jest. Ale przynajmniej trzeba sobie to powiedzieć rzetelnie i bez złudzeń, a wtedy okaże się, jaka jest rzeczywistość siła polityczna opozycji, prócz tego, że wolnym słowem buduje wolną świadomość Polaków. Ale to jeszcze nie siła, jeszcze nie bierny opór; to tylko jeden ze strumieni owej bezbrzeżnej rzeki. A ten, kto w danym okresie dysponuje siłą niewielką, może też uzyskać niewiele. Domagać się wszystkiego za byle co może tylko polityczny fantast. A limit cudów nad Wisłą został już prawdopodobnie wyczerpany na to stulecie przez klęskę Tuchaczewskiego, wybór Karola Wojtyły i powstanie Solidarności. Zresztą, cuda zdarzają się tylko takie, którym pomagają ludzie.

Po 13 XII 1981 r. bierny opór utożsamiano - nie wiem dotąd, dlaczego - ze strajkiem, a zwłaszcza z "pokojową demonstracją" kończącą się zwykle bijatyką z ZOMO-wcami. Brak było prób sięgnięcia po inne formy biernego oporu i obywatelskiego nieposłuszeństwa, pisywano wprawdzie o nich w gazetkach, wzywano do nich lokalnie, ale nie przebiły się one ani do szerszej świadomości, ani nie próbowała uwzględnić ich w swych planach i wezwaniach podziemna TKK. Tak - jak się to wówczas utarło - rozumiany bierny opór okazał się nie tylko mało skuteczny politycznie, ale, co gorsza, wygodnym usprawiedliwieniem dla wszystkich, bo skoro ktoś tam bije się za nas z milicją, nam pozostaje tylko udział w nabożeństwach i czytanie wtykanej do ręki bibuły.

To nieprzygotowanie, tę bierność, tę nieumiejętność korzystania z innych niż tylko strajki i demonstracje form biernego oporu, widać było najdotkliwiej z okazji wyborów, gdy realnie możliwym w danym momencie użyciem siły byłoby na przykład podpisanie jakiejś petycji przez parę milionów ludzi, a jak zwykle podpisywało ją "za nas" kilkudziesięciu tych samych, co zawsze, intelektualistów.

Komunizmowi nie wystarczy - jak zwyczajnym dyktaturom - naga siła, musi on z samej swej istoty powoływać się wciąż na swą ideologiczną legalizację, na poparcie "klasy robotniczej" i "ludu pracującego". Stąd wymaga od społeczeństwa rytualnych gestów tego poparcia, jak udział w wyborach, w urzędowych obchodach, w fasadowych organizacjach,

a przynajmniej powstrzymania się od publicznego kwestionowania tej fasady. Stąd jest wrażliwy na wszelkie formy obywatelskiego nieposłuszeństwa, nie ograniczającego się do małych grup i publicznie kwestionującego - niezbędną temu systemowi jak tlen - zażłamanie.

Te możliwości użycia siły nie zostały wykorzystane albo zostały wykorzystane w stopniu niewielkim.

Dzisiaj jest to mądrość po szkodziu. Strumień świadomego, kierowanego polityczną wolą oporu rozmył się w "rzece bez brzegów", stał się na pewien czas jednym z jej licznych nurtów. Możliwości użycia siły przez opozycję są znikome, zaś mało zdeterminowane grupy jak Wolność i Pokój, organizujące się związki polityczne czy młodzieżowe, nie są dla władzy niebezpieczne, bo marginalne. Z niewielkimi grupami swoich zdecydowanych na wszystko nieprzyjaciół polski komunizm nauczył się już współistnieć, na dla nich funkcjonariuszy i pojemne areszty, raz będzie zwalniał, raz wypuszczał. Przecież na Zachodzie też ktoś ciągle protestuje i tłucze się z policją. Nieprawdaż? Tutaj - jak słusznie zauważył pewien klasyk - "liczą się tylko masy".

"Rzeka bez brzegów" płynie zawsze i potężnieje w miarę upływu czasu, w miarę starzenia się ustroju, co miało stworzyć nowego człowieka, a tylko wykołdawiło "starego". Nie wiem, co wytworzy, co wypłynie z niej na powierzchni na kolejnym zakręcie, tak jak wypływały z niej fale coraz bardziej świadomych polskich protestów znaczone datami minionych kryzysów i burz społecznych. Aż do wypłynięcia nurtu najlepiej zorganizowanego, najbardziej dotąd świadomego siebie i swoich celów - Solidarności. Jedno jest pewne: nie jest to ani kres zasobów tej rzeki, ani możliwej zmienności form, jaką w sobie kryje. I to jest też pewne, że jutro nie bývá podobne do tego, co stało się wczoraj.

Nie sposób trwać z wciąż napiętymi mięśniami. Kurt oporu świadomego, kierowanego polityczną wolą i strategicznym zamiarem wybiera tylko na kilka historycznych chwil. Warto jednak być mądrzejszym i wolnym od starych złudzeń, gdy wzbranie znowu.

Kształt trzeci: cena historii

Za wszystko trzeba płacić. Za sekwencję polskich powstań w okresie zabiorów zapłaciliśmy ceną nie tylko krwi i nieścożółd ludzkich, ale cywilizacyjnego zapóźnienia, niepełnego uczestnictwa w największej i najlepiej do dziś owocującej przygodzie XIX-wiecznej Europy, jaką była rewolucja przemysłowa. Za wszystko się płaci: Czesi, jak zwykle spokojni, niechętni /z wyjątkiem 1848 roku/ zrywom i ruchawkom, kraj, który był przemysłowym zapleczem Austro-Węgier, też zapłacili zupełnie inną ceną za niepodległościową bierność - utracili coś trudniejszego do nazwania, o czym też borykają się na swych zakrętach dwudziestowiecznych, ale to już temat do zupełnie innego tekstu i dla innego pióra. Co więcej, narody nie mają zwykle wyboru, decyzje zapadają nie w pełni świadomie, pod presją trudności i bieżących okoliczności, tylko cena bywa egzekwowana bez litości, a zrozumienie jej bolesnego ciężaru przychodzi ponieważnie, księgowane na rachunki ofiar, nie zaś sprawców. To przecież my, narody środkowoeuropejskie, a nie inicjatorzy

owych "stabilizujących europejski ład" rozwiązań, płaciliśmy cenę za Kongres Wiedeński, tak jak dziś płacimy za Jałtę.

Jeśli dziś powiadamy, że Polska jest krajem najbardziej zasawsonwanym w procesie rozkładu komunizmu, to umiejmy też bez złudzeń stwierdzić, że ceną za to jest również rozkład gospodarki, zapędy administracji, demoralizacja pracownika, lekceważenie wszystkiego, co powiada i do czego zachęca władza, o ile nie jest to "zachęta" wsparta bezpośrednią groźbą represji. Tak nie może funkcjonować żadne współczesne państwo, nawet w tym ustroju i w tym zakątku świata. I znów nie mamy wyboru, choć cena jest egzekwowana bez litości. Gdyby wszystkie ocalałe jeszcze w tym społeczeństwie autorytety, z Papieżem, Wałęsą, Frynasem i generałem Jaruzelskim /jest on autorytetem dla pewnej grupy ludzi/ zgodnie wezwały do pojednania, moralnej naprawy i uczciwej pracy, polska ulica może nawet posłuchałaby z zaciekawieniem, ale chwilę później skomentowałaby rzecz zgryźliwym dowcipasem, udałaby się do tych samych, co zawsze, spraw i sprawek, do tych samych fach i tej samej wieprzowatości dnia powszedniego. Jedyne, co mogłoby tej ulicy stopniowo trafić do przekonania, to rzeczywiste zmiany, ale te /prócz spektakularnego zwolnienia więźniów/ nie następują i zapewne nastąpić nie mogą. Nieszczęsny bezwład trwa, "rzeka bez brzegów" rozlewa się szeroko jak nigdy, podmywając jednak nie same fundamenty Stepowego Bizancjum, ale wszystko, co do życia nowoczesnego społeczeństwa potrzebne.

Nie wiem, co będzie i jak będzie, choć można byłoby tu sformułować oczywisty katalog daremnych propozycji dla władzy i pobożnych życzeń pod adresem opozycji. Daremnych, bo formułowanych wielokrotnie i oczywiście bez skutku, choć stoi za nimi elementarny zárewy rozsádek. Upadające, kurczowo przywarłe do przeżytych form ustrojowych warstwy rządzące, są zwykle ślepe i same pracują na rzecz swej przyszłej katastrofy, która przecież będzie także katastrofą poddanych. Przykładów na to w historii aż za wiele. Pobożnych życzeń, bo czyż grupki bezsilnych są w stanie odwrócić bieg procesów, ku których spełnieniu pcha i ślepotą rządzących, i uwarunkowania minionych dziesięcioleci? A zresztą, większość opozycji jest tak przywiązana do form i metod działania wypracowanych w okresie Solidarności - tak legalnej, jak i podziemnej - że, wszystko inne byłoby faktycznie pobożnym życzeniem. Być może, że ostatecznie innego jest dziś jeszcze niemożliwe. Ale jutro może okazać się konieczne. Do spraw minionych wraca się tylko po klęskę - jak trafnie ostrzegali bodajże Galsworthy.

Czegoż chcę, do czego nawozuję? Tylko do przemyślenia kształtów polskiego oporu u schyłku tego nieszczęsnego i pełnego rozkładu nadziei XX wieku, u schyłku marniejącego totalitaryzmu, a przynajmniej jego dotychczasowej postaci. Temu też ma służyć ten pisany gorzkim atramentem tekst.

Redakcja dziękuje Danucie za 2000.

